

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Krakow, 23 listopada 1912. Nr. 47.

Oblężenie bandytów na Jasnej Górze.



Nr. 47 „Nowości Illustrowanych" zawiera: Przywrócenie Krzyża w Bazylice św. Zofii. — Polska trylogia w teatrze krakowskim. — Wulkan Bałkanu. — Zamordowanie premiera hiszpańskiego. — Żałobny tydzień.

Z pogromu Turcyi.

Oblężenie bandytów na Jasnej Górze.

(Do illustracyi tytułowej).

Wstrząsająca wieść obiegła znowu ziemie polskie. Widownią krwawej walki z bandytami stała się świątynia jasnogórska, którą oblegało wojsko, strzelając do ukrytych tam bandytów. Nieprawdopodobna ta wiadomość okazała się, niestety, prawdziwą.

W niedzielę popołudniu kilku bandytów, a wśród nich poszukiwany dawno opryszek Kozłowski, uchodząc przed pościgiem policyi, wpadli do klasztoru jasnogórskiego torując sobie drogę browningami i bombami! Jeden z bandytów zabarykadował się w baszcie i stamtąd począł strzelać do policyi i otaczających klasztor tłumów. Wobec tego wezwano wojsko, które otoczywszy klasztor, rozpoczęło formalne oblężenie. Wojsko dało około 1000 strzałów z karabinów i kartaczownic, bombardując basztę i wieżę, w której, jak przypuszczano, również ukryli się bandyci, a kule wpadały nawet do cel zakonników. Gdy pomimo to bandyta nie przestawał odpowiadać ciągłemi strzałami, do baszty przez wybity otwór włożono nabój dynamitowy. Nastąpił wybuch, po którym zalegla cisza... Wreszcie policya



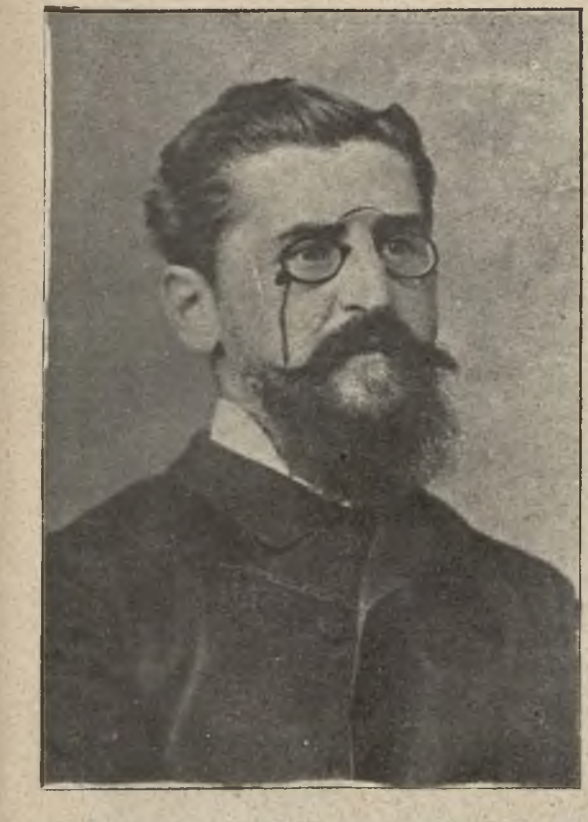
Z pogromu Turcyi: Wojska serbskie wkraczają do twierdzy tureckiej w Uskübie.



Z pogromu Turcyi: Król bułgarski Ferdynand po przybyciu do Mustafy Paszy dopełnia symbolicznego aktu, depcząc zdobyty karabin turecki.



Z pogromu Turcyi: Walka o most pod Lüle Burgas.



Żałobny tydzień: Ś. p. Karol Lewakowski, działacz polityczny, b. poseł i zał. życiel stronnictwa ludowego w Galicyi.

wkroczyła do wnętrza baszty, gdzie leżały poszarpane zwłoki Kozłowskiego. W wieży jasnogórskiej nie znaleziono już nikogo.

Podczas tej walki, stoczonej w murach klasztoru jasnogórskiego, wśród zgromadzonych w świątyni tłumów, jak również w całej Częstochowie zapanował popłoch nieopisany... Nie obeszło się też bez ciężkich ofiar. Od wybuchu bomb, rzuconych przez bandytów i strzałów ucierpiał klasztor, a wiele osób odniosło rany.

Tytułowa illustracya przedstawia moment, gdy bandyci, torując sobie drogę do ucieczki, rzucili bombę przed bramą klasztoru.

Przywrócenie Krzyża w Bazylice św. Zofii.

(Do illustracyi na str. 9).

Zwycięska armia bułgarska — zadaws[z]y ostateczny cios Turcyi, stoi już prawie u wrót stolicy państwa... Te niezwykłe sukcesy wzbudziły u słowiańskich państw bałkańskich chęć wkroczenia do Konstantynopola i odebrania Turkom słynnej świątyni św. Zofii zamienionej dziś na meczet. Bułgarska prasa omawiała już nawet ceremoniał tego wielkiego momentu dziejowego... Król bułgarski Ferdynand w asyście króla serbskiego i króla greckiego miał w uroczystej procesyi wkroczyć do Aji Sofii przywrócić tam władzę Krzyża. Zajęcie przez Bułgarów Konstantynopola wywołałoby jednak poważne międzynarodowe komplikacye polityczne, to też mocarstwa usiłują temu zamiarowi przeszkodzić. Nie wiadomo więc, jak prędko spełnią się marzenia chrześcian bałkańskich. W każdym razie oczy całego świata zwrócone są dziś na Bazylikę św. Zofii, gdzie po 500 blisko latach niewoli tureckiej ma znowu zabłysnąć światło wiary chrześcijańskiej.

Świątynia św. Zofii w Konstantynopolu zbudowaną została w r. 548. Był to jeden z najwspanialszych kościołów chrześcijaństwa. Szesnaście lat trwała budowa, dziesięć tysięcy robotników pracowało nad nią nieprzerwanie. Odznaczała się takiem bogactwem i przepychem, że twórca jej, cesarz imperium bizantyńskiego Justynian podczas uroczystego poświęcenia Bazyliki padł na kolana i zawołał: „Niech będzie pochwalony Bóg, iż dał mi łaskę ukończenia tego dzieła! Zwyciężyłem cię, Salomonie“!

Ale nadszedł krwawy rok 1453. W dniu 29 maja Turcy zdobyli Konstantynopol. Tysiące ludzi schroniło się w murach świątyni. Lecz i tam dosięgła ich mściwa ręka fanatycznych wyznawców Mahometa. Wojska tureckie dokonały strasznej rzezi wśród chrześcian, szukających schronienia w Bazylice św. Zofii. Mordowano bez litości mężczyzn, kobiety i dzieci... Wśród strumieni krwi i krzyków, motłoch turecki zerwał krzyż z świątyni! W ten sposób zmieniono Bazylikę na meczet Aja Sofia!

I dziś po 500 blisko latach armie bałkańskie, stojące przed bramami Konstantynopola, chcą przywrócić panowanie Krzyża w meczecie sofijskim, gdzie według legendy greckiej, w tym momencie, gdy Bazylika powróci do rąk chrześcijańskich, rozsuną się mury świątyni, wyjdzie kapłan z naczyniami świętemi i dokończy mszy, przerwanej przed wiekami napadem i rzezią Turków...

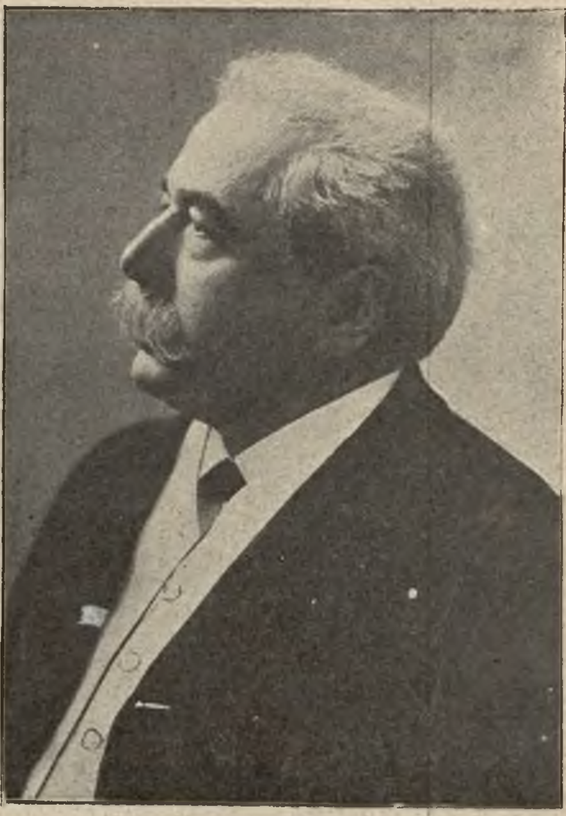
W dzisiejszym numerze zamieszczamy wnętrze tej wspaniałej świątyni.

Z pogromu Turcyi.

Wypadki na Bałkanie rozwinęły się w szybkiem tempie. Kilka tygodni zaledwie minęło od chwili, kiedy sprzymierzone wojska przekroczyły granice Turcyi, a obraz Bałkanu uległ zupełnemu przeobrażeniu. Cały świat stanął wobec wielkiej niespodzianki. Armia turecka, która tak dzielnie broniła się przeciw Rosyi podczas ostatniej z nią wojny, nagle jakby przeistoczyła się w zupełnie inne kształty. Dezorganizacya, brak dyscypliny, upadek zupełny ducha, oto obraz tego, co ożywia dziś serca tych setek tysięcy tureckich żołnierzy, którzy w popłochu uchodzą przed armatami i karabinami armii państw bałkańskich. Klęska Turcyi jest równocześnie moralną przegraną Niemiec. Tureckie wojska bowiem miały do ostatniej chwili niemieckich instruktorów, a nawet w armii na placu boju stojącej szereg wybitnych stanowisk zajęli niemieccy oficerowie. Plan wojny opracowany był przy pomocy pruskich doradców, a jak się pokazało, zawiódł zupełnie.

Wszystkie sprawozdania, jakie w pismach codziennych ogłaszają specyalni korespondenci, zgodnie stwierdzają, że obok braku zupełnego planowego kierowania ruchami wojsk tureckich, były one jeszcze narażone na brak środków żywności i głód.

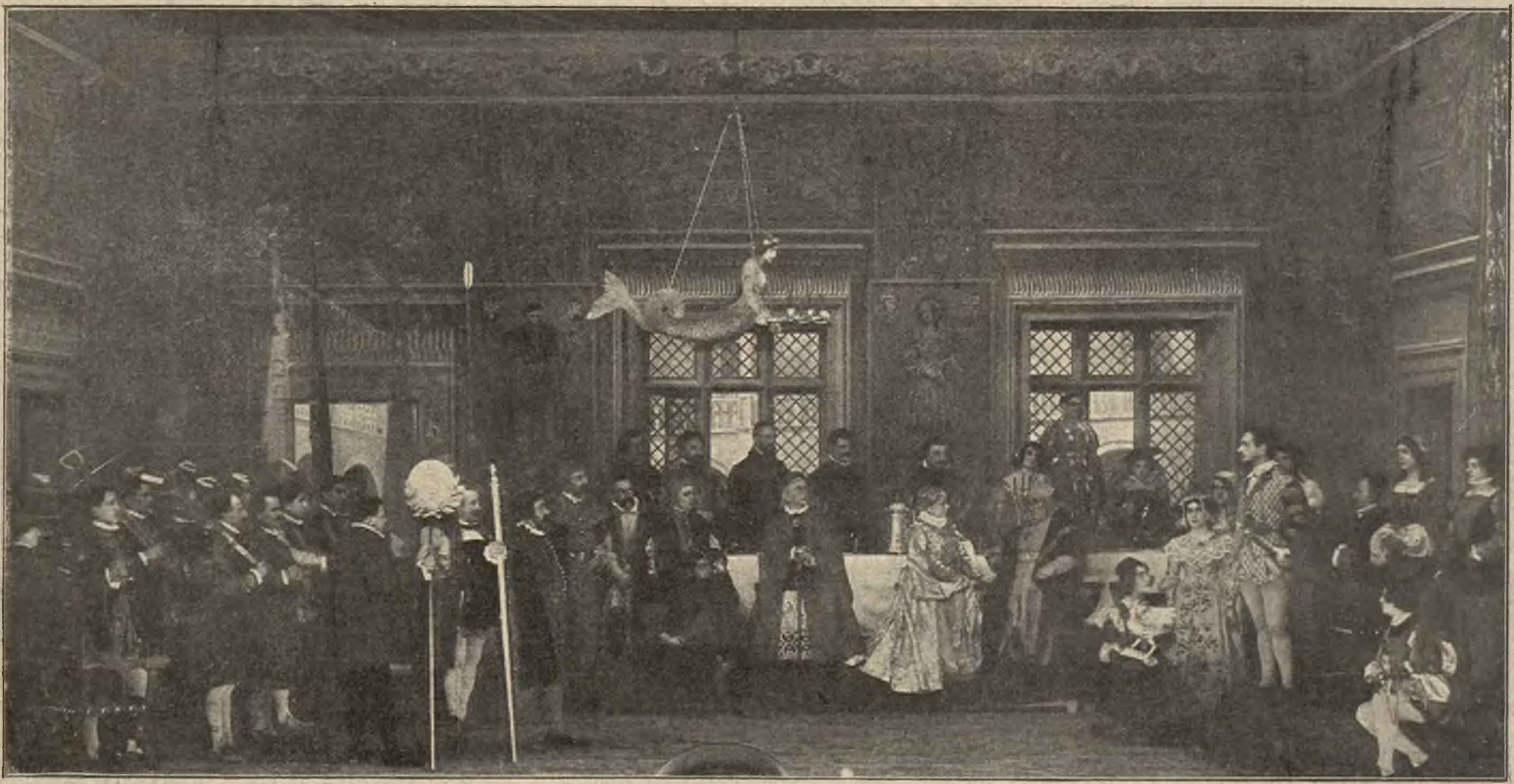
Nic dziwnego, że w takich warunkach duch armii tureckiej musiał upaść, a państwa bałkańskie szły na pewne zwycięstwo. Król bułgarski Ferdynand, kiedy po raz pierwszy przekroczył granicę turecką, dopełnił starodawnego zwyczaju. Kiedy wysiadał z wagonu na stacyi w Mustafa Pasza, położono mu na ziemi zdobyty karabin turecki i król stanął na nim. Akt ten miał być symbolem, że tak, jak król bułgarski depcze broń turecką tak Bułgarya poniży potęgę Turcyi. Jak się pokazało, ceremoniał ten był słuszną przepowiednią.



Żałobny tydzień: Ś. p. Józef Wieniawski, znakomity muzyk i kompozytor.



Z pogromu Turcyi: Broń turecka, zdobyta przez Serbów w Kumanowie.



Polska trylogia w teatrze krakowskim: Scena z V. aktu „Królewskiego Jedynaka", I ej części trylogii Lucyana Rydla p t. „Zygmunt August".

W ostatnich dniach operacye wojenne posunęły się znacznie naprzód. Grecy, wspomagani przez oddziały serbskie i bułgarskie, zajęli Saloniki, gdzie poddało im się 25 tysięcy żołnieży tureckich. Część wojska greckiego ruszyła stąd ku Monastyrowi, który od północy osaczyli Serbowie. Część odeszła ku linii bojowej bułgarskiej, zaś reszta przerzucona została ku Janinie, na pomoc drugiej armii greckiej. Serbowie w dwóch kolumnach prą ku południowi. Jedna zajęła Monastyr, gdzie poddała się 50 tysięczna armia turecka, druga zaś dąży ku wybrzeżom morza Adryatyckiego, aby przyjść z pomocą armii czarnogórskiej, której najgorzej się powodzi. Okazuje się, że miasto Skutari broni się wytrwale przeciw atakom Czarnogórców, tak że armia ich od dwóch tygodni nie posuwa się naprzód.

Bułgarzy stoją przed ostatnią linią obronną turecką, Czataldżą, o 35 klm. drogi od Konstantynopola. Broniona jest ona przez blisko 200 tysięczną armię turecką, wzmacnianą ciągle posiłkami z Azyi oraz przez szereg fortów, wprawdzie starej konstrukcyi, ale zaopatrzonych w duże działa forteczne.

Pierwsze potyczki na tej linii przyniosły Bułgarom klęskę. Nie może ona być jednak poważnie braną pod rachubę, gdyż siły bułgarskie nie ukończyły jeszcze koncentracyi po walkach pod Lüle Burgas, a z powodu deszczów i rozmokłych dróg nie wyprowadziły jeszcze całej swej artyleryi na linię bojową. Adryanopol broni się jeszcze resztkami sił, ale Turkom coraz jest ciaśniej i coraz bardziej głodno.

W dzisiejszym numerze podajemy szereg illustracyi z pogromu i odwrotu Turcyi.



Polska trylogia w teatrze krakowskim: Scena z IV. aktu „Królewskiego Jedynaka", I-ej części trylogii Lucyana Rydla p. t. „Zygmunt August".

(Fot. A. Jabłoński, Kraków).

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

11

Usiadłam tedy w milczeniu przy ogromnem, staroświeckiem biurku dziadunia, a on, założywszy na tył ręce i chodząc po swej kancelaryi, dyktował, co następuje:

„Jaśnie oświecony Książę, Wodzu Naczelny!

Niżej podpisany, a niegdyś w 1792 r. osobiście znany Waszej książęcej Mości, jako szlachcic i dobry Polak uważa sobie za święty obowiązek donieść Wodzowi Naczelnemu wojska polskiego, iż znaczne siły austryackie, wynoszące do 30 tysięcy ludzi, złożone z piechoty, jazdy i artyleryi, pod dowództwem arcyksięcia Ferdynanda d'Este zamierzają w tych dniach wkroczyć w granice Księstwa Warszawskiego. Bliższych szczegółów może udzielić oddawca niniejszego, dlatego nie piszę więcej, bo czas nagli.

Waszej Książęcej Mości polecony sługa i podnóżek

Michał Kleofas Nieczuja Dziaduski, bywszy podkomorzy.

Zamkowa Wola, d. 29 marca 1809. Sandomierski m. p."

Podpis dziadunio na końcu sporządzonej przezemnie na czysto kopii (bo pierwsze dyktando miało kilka przekreśleń), własną, istotnie mocno drżącą ręką, umieścił. Pierwotny, za dyktandem pisany list, zmięłam i schowałam do kieszeni, czego dziadunio nie uważał, a co uczyniłam dlatego, żeby go pomieścić w tym dzienniku, z wielką zresztą obawą. Bo jakkolwiek nie znam życia, ani naprawdę nie wiem, co to jest wojna, jednakże przekonana jestem, że gdyby ten dokument dostał się w ręce Austryaków, to byłoby bardzo źle z dziaduniem. Odtąd dziennik mój na wszelki wypadek będę chowała w jakiem bezpiecznem miejscu.

Dziadunio list złożył, starannie lakiem zapieczętował, sygnet herbowy wycisnął i począł wołać na Kociubę potwora.

— Onufry! Onufry! sam tu do mnie!

A gdy Onufry, bo takie imię na chrzcie świętym (jak sam powiedział) dano potworowi Kociubie, na to wołanie się nie zjawiał, ujrzawszy na biurku dzwonek, poczęłam nim dzwonić co poskutkowało i nakoniec wołany się zjawił. Dziadunio zgromił go naprzód za to, że nie zaraz przyszedł, a potem rozkazywał:

— Biegnij do stajni, okulbacz kasztanowatą kobyłę, pojedziesz do Wąchocka.

— Do Wąchocka? — zapytał Kociuba, wytrzeszczając zabawnie swe małe, chytre oczka.

— Do Wąchocka! — odrzekł dziadunio.

Na to potwór Kociuba jeszcze bardziej wytrzeszczył swe maleńkie oczka i zapytał:

— A Szydło?

Znaczyło to zapewne, że podróż do jakiegoś Wąchocka nie była bezpieczna ze względu na herszta rozbójników Szydłę, który zapewne w tamtych stronach grasował i z tego powodu Kociubie wcale to do gustu nie przypadało. Tak to widać zrozumiał i dziadunio, bo wpadł w gniew, surowo zgromił Kociubę, powiedział, że „dobrzeby Szydło zrobił, żeby takiego kpa gdzie powiesił na suchej wierzbie" i kazał natychmiast być gotowym do drogi i po okulbaczeniu konia stawić się w kancelaryi. Kociuba wyszedł jak zmyty, a ja zapytałam dziadunia, czy z listem do księcia Poniatowskiego zamierza wysłać Kociubę, czy książę Poniatowski w Wąchocku mieszka i jak daleko do tego Wąchocka jakiegoś.

Dziadunio na te moje pytania dość gniewnie i z widocznem roztargnieniem odrzekł:

— Kociubę miałbym wysyłać? takżebym się wybrał! On ty ko do Wąchocka pojedzie.

A po chwili, jakby opzytomniawszy, spojrzał na mnie swemi, mimo wieku pełnemi jeszcze ognia oczami i tonem łagodnym odezwał się:

— Oto co znaczy cudzoziemskie wychowanie! Asińdźka widzę nie masz pojęcia ani o historyi, ani o geografii, ani wreszcie o stosunkach i położeniu kraju. Nie twoja to wina, ani słowa, ale radziłbym asińdźce poświęcić trochę czasu i zająć się temi rzeczami. W jednej z komnat na górze jest biblioteka dość znaczna, gdzie znajdziesz potrzebne książki i mapy. Jakże to może być, żeby Polka mosanie nie wiedziała, że wódz naczelny wojska polskiego mieszka w stolicy kraju, w Warszawie, nie zaś w Wąchocku. Wąchock leży stąd o parę mil, w tak zwanej przez Austryaków, Galicyi...

Zarumieniłam się na tę reprimendę, zgoła niezasłużoną, bo przecież na pensyi pani Campanne ... uczono nas tego wszystkiego, ale zanotowałam sobie w pamięci wiadomość o jakiejś bibliotece, a dziadunio spostrzegłszy mój rumieniec, dodał ze swym dobrym uśmiechem:

— No! no! nie gniewaj się Juliś na mnie, wszak ci to nie jest twoja wina, jeno tych, którzy cię wychowywali. Zawsze byłem przeciwny twojemu pobytowi w Paryżu i teraz oto jestem rozdrażniony trochę, stąd niepotrzebnie asińdźkę złajałem. No, co? nie gniewasz się na mnie?

Rzuciłam się rozrzewiona temi słowami na szyję dziadunia, a on mię przycisnął do piersi i ucałował. Tłumaczył się jeszcze raz, że jest podrażniony tem wszystkiem, co się dzieje.

— Na wojnę się zanosi w naszym nieszczęśliwym kraju — mówił — wojna niesprawiedliwa i zdradziecka i wątpię, żeby garstka naszego wojska w Księstwie mogła się oprzeć potędze cesarskich. Wiem przytem, że to, co postanowiłem uczynić, to jest uprzedzić wodza naczelnego o wiszącej nad Księstwem katastrofie, grozi mi wielkiem niebezpieczeństwem, ale obowiązek święty nakazuje mi to uczynić. I jeżeli mię to martwi, to jeno ze względu na ciebie Juliś, bo gdyby się wydało, to z pewnością mnieby uwięziono i majątek skonfiskowano, a wtedy co z tobą się stanie?

— O, dziadunio — zawołałam — nie troszcz się o mnie wcale. Ja przecież także jestem Polką i gotowa jestem dla mojej nieszczęśliwej ojczyzny nie tylko majątek, ale i życie poświęcić.

Dziadunio na te słowa rozrzewnił się, znów mię chwycił w objęcia i całował szepcząc:

— Dzielna dziewczyna, godna Polka, prawdziwa krew Dziaduszkich!

Wśród tego wrócił potwór Kociuba, oznajmiając, że gotów do drogi. Wdział na siebie czamarę baranami podbita, choć na wiosnę się już miało i śniegi topniały i wyglądał w tym swoim stroju tak zabawnie, że mimo rozrzewnienia, śmiać się zaczęłam, co mu się widać nie podobało, bo z pod oka na mnie spoglądał i zapewne o moim rozumie bardzo niepochlebne miał mniemanie. Dziadunio tymczasem, biorąc list, przezemnie napisany, gadał:

— Pojedziesz tedy do Wąchocka, nie żałując kobyły i ten oto list oddasz do własnych rąk księdza Opata Ojców Cystersów, rozumiesz? do własnych rąk. Schowaj to pismo dobrze i niech cię ręka Boska broni, żebyś je miał zgubić. Nikomu listu nie pokazuj, z nikim w rozmowy się nie wdawaj, po co, dokąd i z czem jedziesz, i powtarzam jeszcze raz do własnych rąk księdza Opata oddaj pismo. Jedź w Imię Boże i wracaj.

A gdy potwór Kociuba zabierał się do odejścia, dziadunio dodał z uśmiechem:

— A Szydły się nie bój. Gdybyś go spotkał, powiedz mu, żo z mego nakazu jedziesz, że ja mu surowo polecam, aby zrobił to, co obiecał.

Kociuba na te słowa zrobił tak zabawną minę, mającą niby wyrażać zdziwienie, że ja znowu parsknęłam głośnym śmiechem. Było to może niewłaściwem, ale powstrzymać się nie mogłam. Kociuba spojrzał na mnie groźnie, machnął kosmatą łapą i wyszedł, i zaraz potem rozległ się tentent jego konia. Dziadunio zaś mówił:

— W Wąchocku jest opactwo księży Cystersów. Opat tamtejszy, a mój przyjaciel, list do księcia Józefa wyśle przez jednego z zakonników, który już nieraz takie poselstwa odprawiał. W sprawie tej już się porozumiałem z księdzem Opatem. *Alea jacta est*, zrobiłem to, co mi obowiązek nakazywał, a resztę zostawmy Opatrzności Boskiej.

Kiedy i w jaki sposób dziadunio porozumiał się z tym jakimś opatem Cystersów, nie wiem i nie pytałam o to, skoro sam nic mi o tem nie mówił. Wychodząc z kancelaryi, prosiłam dziadunia, by mi wskazał, gdzie jest biblioteka i klucz mi dał od niej. Ucieszył się z tego i mówił, że rad jest bardzo, iż jego propozycyi chce usłuchać, że w bibliotece są książki, które mię nauczą historyi i geografii polskiej, że nudy samotności w ten sposób pożytecznie przerwę i t. p. Nakoniec dał mi klucz i oznajmił, że biblioteka mieści się w baszcie na pierwszem piętrze i że dostać się do niej można korytarzem, w którym wiszą portrety panów i pań Dziaduskich, a między nimi „konterfekt" mej prababki chorążyny, zwany poetycko „Cieniem".

Dnia 30 marca. Dnia dzisiejszego było parę faktów, które uważam za stosowne zanotować w tym dzienniku, bo są z wielu względów ważne i interesujące. Tajemnicza przeszłość coraz wyraźniej na jaw występuje i coś mi mówi w duszy, że posępny cień na mą przyszłość rzuci.

Przy śniadaniu dziadunio mi powiedział, że Kociuba dopiero o świcie wrócił z Wąchocka, że list księdzu Opatowi oddał i że pismo to zapewne jest już w drodze do Warszawy, przyczem dodał z śmiechem, że Kociuba nie spotkał Szydły, którego się boi, bo są ze sobą w złej komitywie. Poczciwy mój opiekun był weselszy, wczorajsze posępne rozmyślanie i gniewne usposobienie znikło zupełnie, dziwił się tylko, że Szydło znaku życia nie daje, a przez dwa dni mógł już być na jaki ślad mnicha Gwidona natrafić. Nakoniec mówił, że mu dziś rano leśniczy z lasów koło folwarku Malacenty doniósł, iż ukazało się tam stado wilków i że prawdopodobnie jutro urządzi na nie obławę. Ja się poczęłam dziwić, że w Polsce są jeszcze wilki, o których we Francyi nic nie słychać, dziadunio mi tłumaczył, że tu koło Swiętego Krzyża są jeszcze ogromne lasy i puszcze, że zatem niema nic nadzwyczajnego, że wilki się w nich kryją.

Gdy tak sobie rozmawiamy, wchodzi nagle potwór Kociuba, z nosem mocno zaczerwienionym, z miną przerażoną i powiada:

— Jaśnie panie, cysarskie huzary przyjechały.

Dziadunio nie mógł zrazu zrozumieć co to znaczy.

— Jakie huzary? Co ty pleciesz?

— Cysarskie huzary, stoją na dziedzińcu.

Skoczyłam do okna i widzę w rzeczy samej pięciu konnych huzarów w dolmanach ciemno zielonych, w kołpakach z pomponami, w czerwonych spodniach, a jeden z nich, widocznie starszy, zeszedł już z konia i trzymając paczkę jakichś papierów, szedł do drzwi zamkniętych, dzwoniąc głośno szablą i ostrogami. Dziadunio, który także przybył do okna, zmieszał się mocno i szepnął:

— Co to jest? czyżby mój list wpadł w ich ręce? Ale nie, to być nie może... jakim sposobem?

Ja sama też zaniepokojona byłam mocno, choć szczerze mówiąc nie wiedziałam o co, ale patrząc na widoczne pomieszanie dziadunia, o mało się nie rozpłakałam. Tymczasem ów starszy huzarów, prowadzony przez jednego ze służących, wszedł już do pokoju i stanąwszy przy drzwiach zdjął kołpak, kłaniał się i uśmiechał, przyczem szereg białych, ostrych zębów z pod dużych, mocno wyczernionych i sterczących do góry wąsów, widać było, i począł mówić jakimś śmiesznym, prawie dziecinnym, łamanym językiem (jak się później dowiedziałam, słowackim) że „palet" przyniósł do „jasny dźedżyc". To rzekłszy podał dziadunowi jakiś papier.

Dziadunio rozwinął ten papier, przyczem zauważyłam, że mu ręce nieco drżały i zawołał:

— Co to jest? po niemiecku? ja nie rozumiem... od kogo ten papier?

Huzar wyszczerzył swe białe zęby, skłonił się znowu, przyczem warkocze w plecionkę zwite, wiszące mu po obu stronach twarzy, niby pejsy żydowskie, poruszyły się, co nadzwyczaj śmiesznie wyglądało i rzekł:

— Od graf general Mohr.

— A czegóż chce odemnie graf Mohr?

— Chce, coby czy jasny pan sam przyjechali do Kielc.

— Żebym do Kielc przyjechał? a po co?

— Ja sem nie wiedam po co, ale my tak palet mamy sem do wszystkie dziedzic, coby oni przyjechali do Kielc.

Dziadunio miał papier w ręku, oglądał go na wszystkie strony i widocznie miał na wiadomość, że nie on jeden tylko jest wzywany do Kielc, uspokoił się znacznie. Ja też przypomniałam sobie, że znam nieco język niemiecki, bo na pensyi pani Campane była guwernantka Niemka czy Alzatka, frajlajn Ida Miller, która nas uczyła tego języka i zbliżyłam się tedy do dziadunia i rzekłam:

— Pozwól dziadunio, ja przeczytam, czego chce generał Mohr.

Dziadunio okazał niemałe zdziwienie, dowiedziawszy się, że posiadam niemczyznę, ale ów „palet", jak go nazwał huzar wręczył mi, a ja zaczęłam czytać. Nie wszystko zrozumiałam, wszakże na tyle, że objaśniłam dziadunia, że generał graf Ferdynand von Mohr, komendant i gubernator miasta Kielc, wzywa pana Dziaduskiego, aby w tem mieście stawił się d. 3 marca o godzinie 8 ej rano w urzędzie starosty w celu porozumienia się o dostawę żywności dla wojska i furażu dla koni, a to pod najsurowszą odpowiedzialnością.

Gdym to odczytała, dziadunio odetchnął i zaczął się wypytywać huzara, do kogo jeszcze ma takie „palety". Huzar ciągle szczerząc zęby i ruszając warkoczykami dał całą pakę papierów, a dziadunio czytał różne nazwiska szlachty okolicznej, poczem rozwesolony kazał dać wódki huzarom oraz chleba

i słoniny, z czego stara klucznica Gruszka była bardzo niezadowoloną i gdym poszła z nią do spiżarni, nie dla tego, by jej dopomódz, bo dziewczyn służebnych w zamku było mnóstwo, ale przez prostą cie kawość, mruczała i gadała:

— Licho nadało, jeszcze będę pasła sperką Szwabów! Już to jasny pan sam nieraz nie wie, co robi.

Huzary napili się wódki, zjedli chleba i słoniny, i kłaniając się odjechali, a dziadunio zaraz zaczął się wybierać, bo mówił, że chcąc być w starostwie jutro o godz. 8 ej rano, musi niezwłocznie wyjechać, bo do Kielc jest pięć mil opętanych, po drogach roztopami wiosennymi zniszczonych, a po nocy wlec się nie chce. Jakoż zaprzężono mu lekki odkryty powozik i uścisnąwszy mię serdecznie, siadł i pojechał, zostawiając w moim ręku zarząd domem, co mię w niemały kłopot wprawiło, bo nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Co prawda uznałam za stosowne, nic nie robić i poszłam do siebie na górę, zamyślając wyruszyć do biblioteki, o której mi wczoraj dziadunio mówił i klucz mi do niej dał.

Ale ponieważ ten korytarz z portretami i wo góle ta część zamku zawsze wzbudzała we mnie jakąś zabobonną trwogę, więc nie chciałam, zwłaszcza do nieznanej mi sali bibliotecznej, iść sama i wzięłam ze sobą Zuzię. Dziewczyna chętnie się na to zgodziła, bo jej, Warszawiance, nudziło się w tej pustyni, jakkolwiek podejrzywałam ją, że umizga się do pisarza prowentowego, imci pana Alfonsa Dziurkiewicza, młodego chłopaka, noszącego fantastyczne jaskrawe krawaty, bujną niezwykle czuprynę, którą co niedziela i święto niemiłosiernie smarował topolową, domowego wyrobu zapewne, pomadą, przybierał romantyczne pozy i brzdąkał na gitarze, w której jednej struny brakowało i śpiewał pięknym, jak utrzymywała Zuzia, barytonem, czułą piosenkę, zaczynającą się od słów:

„Ten strumyczek, te brzóz kilka
Tak mi ciebie przypomina...“

Ponieważ to był dzień powszedni i pan Alfons Dziurkiewicz zajęty był w oficynie pisaniem, więc Zuzia się nudziła i rada była rozerwać się przeglądaniem, jak mówiła, zakamarków tej starej rudery, bo tak zamek stale nazywała. Ruszyłyśmy tedy na korytarz z portretami.

W chwili, gdyśmy tam wchodziły, niebo, dotąd dość jasne, zaciągnęło się posępnemi chmurami i począł padać drobny, ale rzęsisty deszcz, tak że w korytarzu, źle przez parę wąskich okien oświeconym, stąd zawsze mrocznym, zrobiło się jeszcze ciemniej. W ciszy, jaka tu panowała, słychać było plusk wody, spływającej z dachu i monotonne dzwonienie deszczu po szybach. Zuzia krzywiła się, narzekała, że tu brzydko, ciemno i kurzu dużo, podniosła wykrochmalone mocno spódniczki i w eleganckich bucikach warszawskich stąpała po skrzypiącej posadzce na palcach, ja zaś rozmyślałam nad tem, jak tam w taki deszcz dziadunio podróżuje w otwartej kolasce i wyrzucałam sobie, że go nie namówiłam, aby wziął zakryty powóz. I myśląc o tem, podeszłam do okna, po którem spływały całe strumienie brudnej wody, pomieszanej z kurzem, Bóg wie od jakiego czasu leżącym na szybach. Świat wyglądał ponuro; wielkie mgły przewalały się nad lasami i cała Łysa Góra, z klasztorem na niej, zatonęła w tej mgle, tylko szczyt wieży było widać, co osobliwsze robiło wrażenie. Ja stałam przy oknie milcząca, zatopiona w kontemplacyi tego melancholijnego widoku, a Zuzia szastała się po korytarzu, oglądała portrety moich antenatów, wyrażała dość głośno zdanie, że damy dawniej były bardzo brzydkie, wreszcie zapytała:

— Proszę panienki, czy my tu długo będziemy w tym kurzu siedziały?

Poszłyśmy więc ku bibliotece. Koło portretu mej nieszczęśliwej prababki przesunęłam się prędko, a jej duże, czarne oczy, pełne smutku i łez, zdawały się mnie ścigać i patrzeć na mnie, praprawnuczkę, niemniej smutną, niemniej przejętą najtragiczniejszemi przeczuciami. Zaraz nieomal za tym portretem korytarz łamał się pod kątem prostym i na jego końcu znajdowały się drzwi, prowadzące do biblioteki. Drzwi te były mocne, dębowe i co dziwniejsza, bardzo starannie okute, a rysunek tego okucia przypominał mi widziane w Wersalu, kiedyśmy z panią Campane zwiedzały ten pałac, starożytne roboty ślusarskie. Z trudnością razem z Zuzią, która nie przestawała krzywić się i widocznie była niezadowolona z tej wycieczki i co chwila szeleszczące swe spódniczki otrzepywała demonstracyjnie z kurzu, otworzyłyśmy zardzewiały zamek. Drzwi nakoniec z przeraźliwem skrzypieniem rozwarły się i uderzyła nas nieznośna woń wilgoci i zaduchu, właściwa pokojom zamkniętym i niezamieszkałym przez ludzi.

— Czy mamy tam wejść panienko? — zawołała Zuzia, komiczną robiąc minkę — ależ tam udusić się można!

Nie zważałam na tę jej niechęć, śmiało weszłam i zauważywszy w jednem z okien silnie okratowanych lufcik, otworzyłam go, by wpuścić nieco świeżego powietrza i poczęłam rozglądać się dokoła. Była to sala dość duża, prawie okrągła, z żebrowatem sklepieniem, niegdyś malowanem, dziś farby spłowiałe, w wielu miejscach zatarte zupełnie, przedstawiały jakąś scenę mitologiczną, bo widać było jeszcze tu i ówdzie nagie boginie i bożków nagich.



I przysunąwszy się do okna, poczęłam je przeglądać.

Panował tu półmrok, bo dwa wąskie okna, okratowane mocno, o szybach przepalonych przez słońce, pokrytych grubą warstwą kurzu, przepuszczały niewiele światła, zwłaszcza, że deszcz ciągle padał, a niebo powleczone było ciemnemi chmurami. Dokoła ścian stały oszklone szafy, pełne ksiąg; biblioteka była duża, zawierała conajmniej kilka tysięcy tomów, jak na pierwszy rzut oka osądziłam. Na wierzchu szaf stały popiersia różnych znakomitych ludzi, niegdyś białe, teraz zabrudzone, kurzem pokryte, zwłaszcza nosy tych panów szkaradnie wyglądały, co z uczoną powagą i zadumą tych twarzy śmieszny kontrast stanowiło. Na środku sali był stół okrągły, zarzucony wielkiemi księgami, ale tak zakurzonemi, że bałam się ich dotknąć. Widocznie nikt tu od nie wiem ilu lat nie zaglądał.

Zuzia, stanąwszy na środku tej komnaty, zawołała z komicznem zdziwieniem:

— O laboga, co tu książek! Jeszczem też nigdy tylu książek nie widziała.

Zresztą, prócz trzech czy czterech staroświeckich foteli, skórą wyciskaną krytych i zakurzonych mocno, nic tu więcej nie było. Sala wogóle była ponura, ciemna i jakieś przykre wrażenie robiła. Niczego dotknąć się nie śmiałam, nie chcąc się zabrudzić, a o przeglądaniu lub wydobywaniu książek z szaf, nie mogło być nawet mowy i każdą z nich wprzódy trzebaby oczyścić, tak wszystko pokrywał grubą warstwą pył jakiś popielaty, może przez wieki całe nieruszany. Widocznie przodkowie moi nieprzełamany mieli księgowstręt.

Rozglądając się dokoła, zauważyłam w jednym rogu, między dwoma szafami, tworzącemi wąskie przejście, jakieś niewielkie, głęboko w mur wpuszczczone, drzwi, w zamku których sterczał klucz. Zaciekawiona, coby za temi drzwiami się kryło, zbliżyłam się do nich, ale nie mało trzeba było użyć trudu, nim zardzewiały zamek i to przy pomocy Zuzi, zdołałam otworzyć. Była to izdebka niewielka, o jednem zakratowanem szczelnie oknie, na pół ciemna, z której wionęło na nas tak zaduszne, stęchlizną przesiąknięte powietrze, że musiałam poczekać, ażeby świeży prąd z rozwartego w bibliotece lufciku tam się dostał. Gdy to nastąpiło, tak że mogłam oddychać, weszłam do tego pokoiku i ciekawie rozglądać się po nim zaczęłam. Robił on wrażenie więzienia. Jedno okienko wąskie, grubemi, acz na pół przez rdzę zjedzonemi, kratami zabezpieczone, drzwi żelazne, mury półtoraczne, sklepienie ciężkie żebrowate, posadzka w kostki z marmuru czarnego i żółtego, wszystko to świadczyło, że albo to był skarbiec jakiś, albo więzienie. Wszakże rozglądając się baczniej, nabyłam przekonania, że nie był to skarbiec. Ściany tu i ówdzie pokryte jeszcze były szczątkami obicia z jakiejś ciężkiej, spłowiałej materyi, niegdyś karmazynowej, dziś stoczonej przez mole i wilgoć; zwieszała się ona tu i ówdzie płatami, przedstawiając obraz ruiny. Przy jednej ze ścian stał stoliczek, bardzo misternej roboty, o złoconych, teraz poczerniałych nogach, a przy nim parę krzeseł staroświeckich, w tymże co stoliczek stylu. Na wprost okna całą ścianę zajmowały ordynaryjne półki drewniane, założone od góry do dołu papierzyskami, a raczej foliałami akt, u których wszędzie zwieszały się kolorowe języczki z rozmaitymi napisami. Było to widocznie archiwum rodziny Dziaduskich, a taki wniosek wyprowadziłam z tego, że na pensyi u pani Campane było takie i w ten sam sposób urządzone archiwum szkolne.

Poczęłam więc przez prostą ciekawość, bez żadnej zresztą myśli, odczytywać te napisy, staroświeckim charakterem skreślone, ale na razie nic w nich interesującego nie znalazłam; po większej części były to dokumenta, dotyczące różnych majętności, co oczywiście nie wiele, a nawet wcale mnie nie obchodziło. Między niemi jednak znalazłam paczkę, na której był napis: „Dominium Czarnów". Ponieważ mąż nieszczęśliwej mej prababki, pan chorąży Dziaduski, mieszkał w Czarnowie, więc przyszło mi myśl, żeby przejrzeć te papierzyska, ale brud i kurz na nich leżący na razie wstrzymał mię od tego. Już miałam odejść od tych półek, wydających jakąś dziwną i niemiłą woń, gdy oko moje padło na niewielką paczkę, na górnej kondygnacyi leżącą, z tytułem: „Listy A. D. 1649—1652". Dada powyższa uderzyła mnie; wszak tenże sam rok był na odwrotnej stronie portretu zwanego „Cieniem", wszak w tymże roku pani chorążyna, Julianna Dziaduska, bawiła na swoje nieszczęście w Gaworowie. Kto wie, czy w tej paczce nie mieści się jaki list nieszczęśliwej kobiety, jakie objaśnienie o jej losie? Nie wahając się już ani chwili, nie zważając, że brud i kurz może zawalać moje starannie pielęgnowane palce, sięgnęłam po tę paczkę i przysunąwszy się do okna, poczęłam ją przeglądać. Ale pył z nich wydobywający się, cuchnąca woń, atrament mocno wybladły przy ciemnościach, panujących w tej izbie, nie dozwolił mi bliżej zbadać tych papierów, więc postanowiłam je zabrać do siebie, a zarazem jak najprędzej wynieść się z tej izby ponurej, więziennej. Zauważyłam przytem, że coraz ciemniej się robi, że deszcz nieustannie pada, a prąd powietrza, dostający się tutaj z otwartego lufciku w bibliotece, porusza szczątkami zwisającego obicia i niemiły szelest sprawia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wulkan Bałkanu: Oddział powstańców macedońskich.

Zamordowanie premiera hiszpańskiego.

Półwysep Pirenejski jest widownią ciągłych gwałtownych przemian i wstrząśnień. Rewolucyjne dążenia, które obaliły rządy królewskie w Portugalii, nie dają także Hiszpanii spokoju. Raz po raz padają tam bomby, odbywają się mniej lub więcej gwałtowne walki i starcia, a wśród tego rewolucyjnego wrzenia rozwijają swą działalność anarchiści, którzy stąd szerzą swą propagandę po całej Europie. Przed kilku dniami padł ofiarą zamachu anarchistycznego Jose Canalejas z Mender, prezydent gabinetu hiszpańskiego. Został on napadnięty na ulicy w Madrycie przez anarchistę Manuela Pardinasa Serato Martina, który czterema strzałami położył go trupem na miejscu, poczem sam sobie odebrał życie.

Canalejas był jednym z najwybitniejszych mężów stanu w Hiszpanii. Jako przywódca partyi li-



Zamordowanie premiera hiszpańskiego: Jose Canalejas, zamordowany prez. gabinetu hiszpańskiego.

beralnej rozpoczął karyerę polityczną już w r. 1888, kiedy został ministrem rolnictwa. Następnie dwukrotnie zasiadał w gabinetach liberalnych. Przez pewien czas wycofał się z życia publicznego, powrócił zaś znowu, kiedy po walkach w Marokku i po sprawie Ferrera, upadł ówczesny gabinet konserwatywny Maury. W lutym 1910 r. objął prezydenturę gabinetu.

Jako liberał, rozpoczął swe rządy jako premier od zatargu z Watykanem, wydając ustawę o zakonach. Tęgi administrator, przeprowadził w Hiszpanii szereg reform finansowych i szkolnych.

Ilustracya nasza przedstawia portret zamordowanego premiera hiszpańskiego.

Wulkan Bałkanu.

Wojna Turcyi z państwami bałkańskimi wywiodła znowu na światło dzienne szereg zatargów odwiecznych prawie, jakich widownią był Bałkan od kilkuset lat. Niepoślednie miejsce w tych zatargach zajmuje Macedonia, która dzisiaj już nie tylko jest punktem wyjścia zatargów państw Bałkańskich z Turkami, ale może się stać przedmiotem sporu między Grecyą a Bułgaryą.

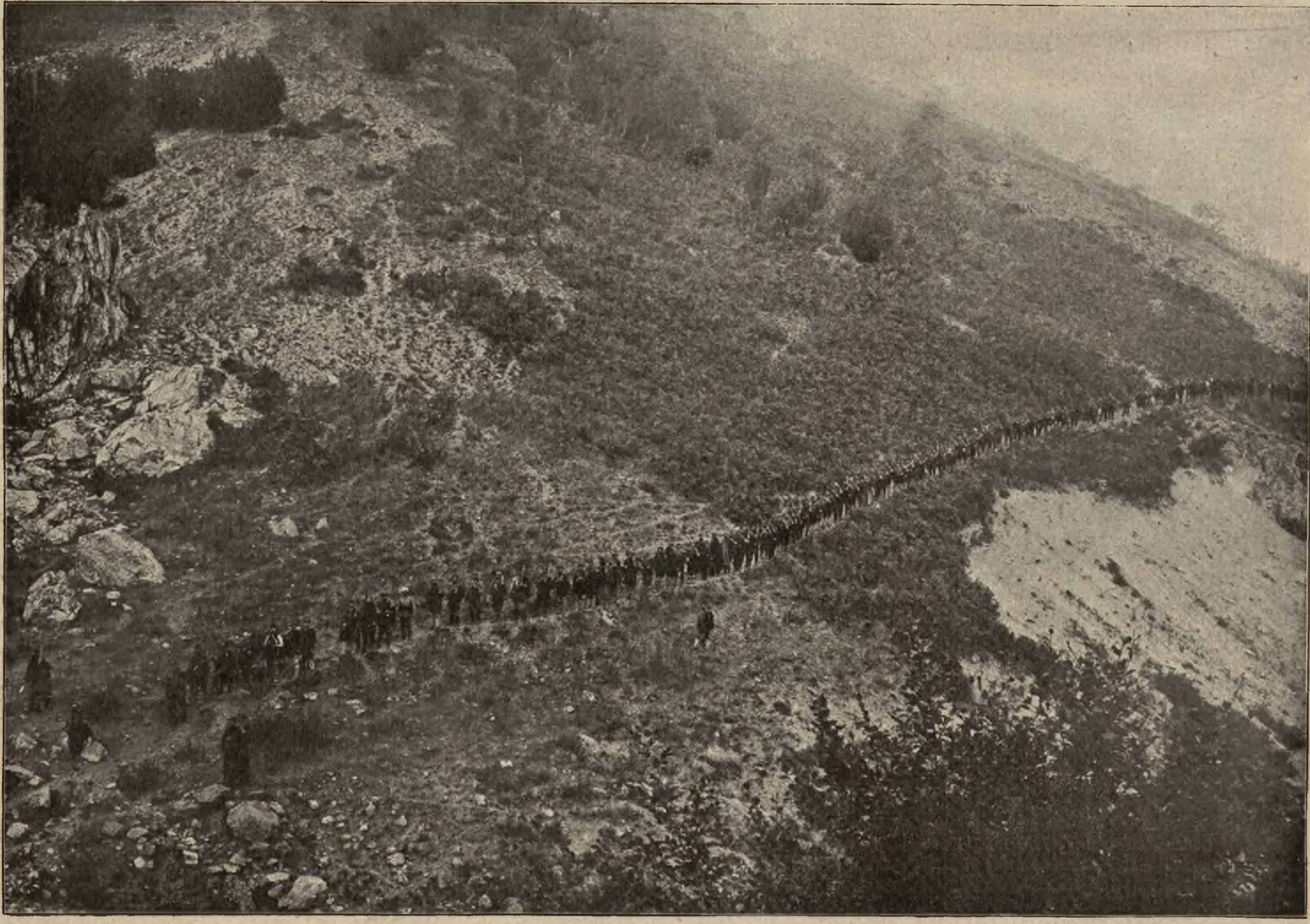


Z pogromu Turcyi: Odwrót wojsk tureckich po klęsce pod Lüle Burgas.



Wulkan Bałkanu: „Czeta" macedońskich powstańców.

Historya Macedonii sięga dalekich czasów. Pewne wiadomości o niej, jako samodzielnem państwie, znajdujemy w 5 wieku przed Chrystusem, w czasie wojen perskich. W czasie panowania Aleksandra W. (333 – 320 przed Chr.) Macedonia stała się władczynią połowy świata i władała nad Grecyą i częścią Azyi Mniejszej. Po jego śmierci Macedonia zaczęła upadać. Kiedy w II-gim w. przed Chr. Rzymianie zawładnęli Wschodem, Macedonia przeszła pod ich panowanie i stała się prowincyą rzymską. W epoce wędrówek narodów gościli w niej po kolei Gotowie, Hunnowie, Anurowie, a wreszcie Słowianie, którzy w VII w. p. Chr. zajęli prawie całą tę krainę. W IX w. dostała się Macedonia w ręce Bułgarów, a w r. 1018 została zajęta przez ces. Bazylego II go i wcielona do państwa Bizantyjskiego. Po IV wojnie krzyżowej powstało w Macedonii samodzielne państwo, które w r. 12.2 zostało zabrane przez



Wulkan Bałkanu: Powstańcy macedońscy w pochodzie.



Przywrócenie Krzyża w Bazylice św. Zofii: Wnętrze meczetu Aja-Sofia w Konstantynopolu



Żałobny tydzień: Kondukt pogrzebowy ś. p. Stanisława Ciuchcińskiego, b. prezydenta m. Lwowa, przed gmachem Ratusza. (Fot. M. Münz, Lwów.)

Greków. Po r. 1282 Serbowie wyparli z niego Greków, zaś w r. 1430 zajęli Macedonię Turcy.

Pod ich panowaniem przez setki lat Macedonia nie brała udziału w ruchach wolnościowych; rozpoczęły się one w niej na nowo w r. 1820 podczas wojny grecko-tureckiej. Pokój w San Stefano (1878 roku) przyłączył część Macedonii do Bułgaryi. Ruch powstańczy przeciw Turkom rozpoczął się w roku 1895 i odtąd jest Macedonia widownią krwawych walk.

Kongres berliński polecił Turcyi wprowadzenie odpowiednich reform w Macedonii. Rząd bułgarski, który największe rości sobie pretensye do tego kraju, wystąpił wobec Porty z żądaniem, aby zarząd tej prowincyi został zmodernizowany i był prowadzony po europejsku. Turcya obiecywała ciągle, że zajmie się tą sprawą, ale stale na obietnicach tylko się kończyło.

Ruch powstańczy ogarnął w końcu cały kraj. Przy pomocy emisaryuszów bułgarskich i greckich na terytoryum całej Macedonii walczyły z Turkami „czety" powstańcze, dążąc do tego, aby w końcu Europa zainteresowała się tym krajem i wymogła na Turcyi nadania Macedonii samodzielności. Interwencya Europy skończyła się jednak tylko na tem, że zaprowadzono bardzo nieznaczne zmiany w dotychczasowym sposobie administracyi Macedonii.

I dzisiaj wojna Turcyi z państwami bałkańskimi po części tutaj ma swój powód i swoje zarzewie.

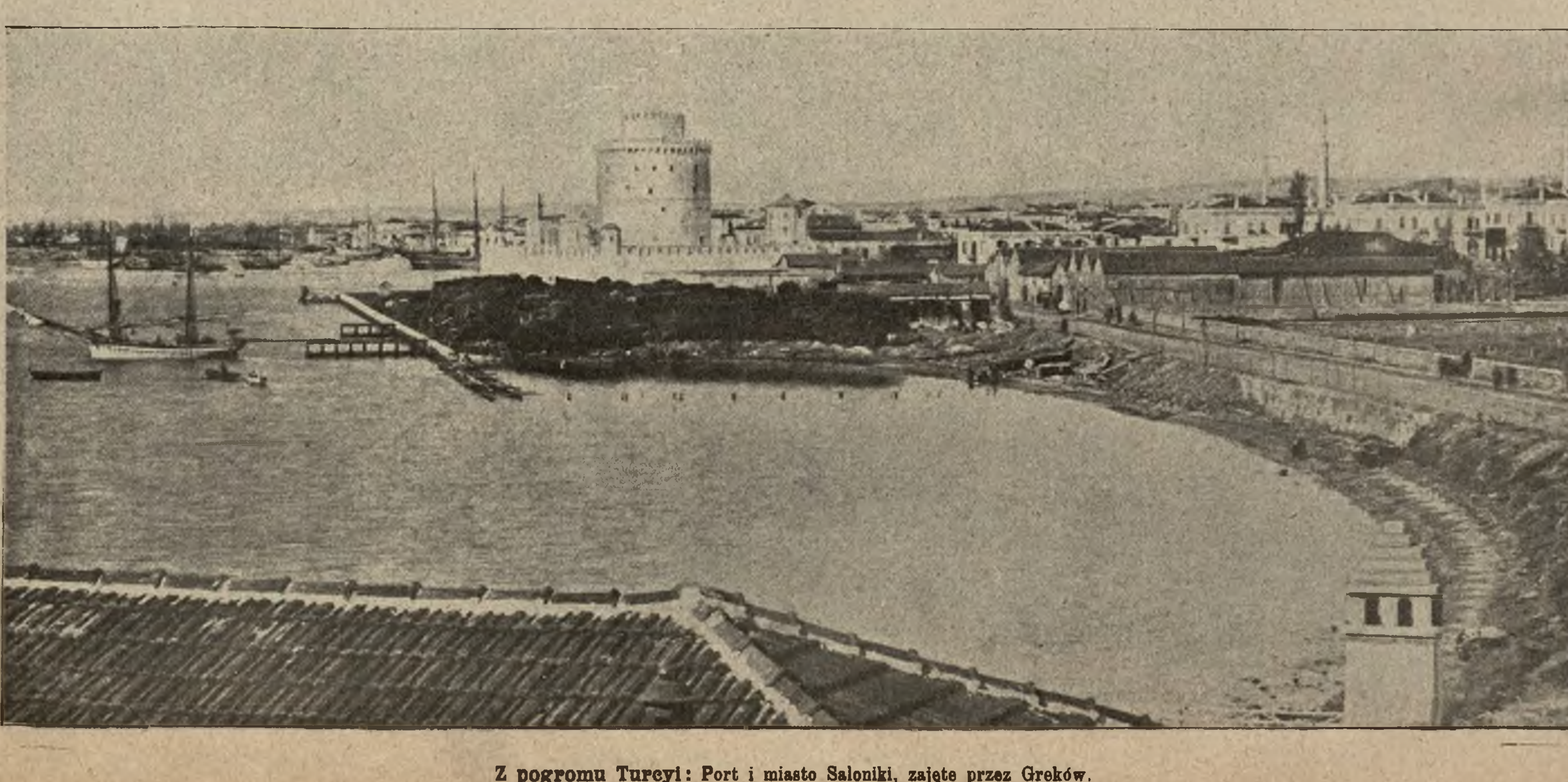
W dzisiejszym numerze podajemy szereg illustracyi z rewolucyjnych epizodów w Macedonii.



Żałobny tydzień: Ś. p. Stanisław Ciuchciński, b. prez. miasta Lwowa i poseł na Sejm krajowy.



Z pogromu Turcyi: Wojska serbskie wkraczają do Skoplie (Üsküb), stolicy Starej Serbii.



Z pogromu Turcyi: Port i miasto Saloniki, zajęte przez Greków.

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

11)

— Znajdzie tu pan książki i przybory do pisania, będzie się i czem rozerwać. Mimo grubości muru będzie się pan starał chodzić jak najciszej: zewsząd mieszkają sąsiedzi. Zato od strony mej kuchni nie ma pan czego się obawiać. W dzień będzie się pan tu zamykał. Wychodzić może pan, o ile zechce, jedynie w nocy.

— A gdybym oczekiwał odwiedzin?

— Kto zgłosi się z umówionem hasłem, tego ja sama przyjmę i o ile będzie trzeba, do pana wprowadzę.

— Czy mogę dać znać komuś, że jestem bezpieczny?

— Jeżeli pan sobie życzy, ja lub Maturyna list odniesie.

— Jakże pani podziękuję!

Saint Régeant dziękował z takiem uniesieniem, że modystka śmiać się poczęła.

— Ej, lekkomyślny młodzieńcze, i palcem pogroziła, widzę, że zamierzasz porozumieć się nie z kolegą! Takto pan będzie nam dopomagał w ukrywaniu siebie?

— Ta, o której mowa, nie może mi sprowadzić nieszczęścia — żywo zaprotestował. — Sama by się raczej wydała na zgubę, niż mnie zdradziła. Zresztą, czyż nie może przyjść do magazynu mód? A czyby pani nie mogła sama iść do niej, ponieważ sprzedaje wstążki i materye?

Wirginia uderzyła w ton poważny i zapowiedziała stanowczo:

— Zgadzam się na jeden raz. Lecz nie radzę, by się to miało powtarzać. Nie poświęcimy spraw partyjnych dla pańskich fantazyi. Wiele już oddałam usług naszym ludziom i zawsze jestem gotowa. Wykrycie mej kryjówki, uwięzienie pana i mnie zarazem, nie wpłynęłoby na poprawę sytuacyi. Albo się pan zastosuje do naszych zwyczajów, albo wróci na wolność. Zgoda?

— Zgoda!

— Dobrze! Przypuszczam, że pan nie jadł dotychczas obiadu. Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, poznamy się bliżej przy stole.

X.

Panna Wirginia Grandeau, rodem bretonka, była córką sławnego porucznika szuanów z przydomkiem Chante en hiver, rozstrzelanego wraz z swym dowódcą de Charette. Niezliczone oddała rojalistom usługi. Hrabia Prowancyi pisał do niej list dziękczynny z Mitawy, a do Hyde'a tak się wyraził: „Gdybym mógł robić księżniczki, jak robię książąt, nie byłoby dostojniejszej nad pannę Grandeau". Policya wiedziała, że jest w Paryżu agent książąt, pośredniczący między Anglią, Wandeą i Prewancyę, lecz nie wpadła nigdy na trop panny Grandeau. Modystka z ulicy du Dragon umiała strzedz swej tajemnicy, a jej znajomi byli to ludzie pewni. Limoelan był jej krewnym i z tej tylko racyi wiedział o jej stosunkach z Emigracyą. Inaczej tak małoznaczna figura nie byłaby w żadnym kontakcie z p. Wirginią. Pokrewieństwo dawało mu wyjątkowe prawa. I teraz, zjawił się u kuzynki nazajutrz po przybyciu Saint-Régeant'a. Był tak zmieniony, że najwprawniejsze oko nie mogłoby go poznać w tem przebraniu. Trudno wymarzyć potworniejszy typ pijaka, z czerwonemi, załzawionemi oczyma, ziejący alkoholem na wszystkie strony. W sakwie z mocno wytartego czerwonego aksamitu niósł przybory tapicera, na plecach sterczały ramy do napinania płótna na materace. Mieszkał od dwu miesięcy w izdebce na poddaszu, obok Maturyny. W tej dzielnicy, gdzie zdążył już przerobić i odnowić kilkadziesiąt materacy, znały go wszystkie dzieciaki i wszystkie kumoszki jako ojca Juliusza. Robił wrażenie, jakby był zawsze między jednym kieliszkiem a drugim, mówił zaś najniemożliwszym akcentem pikardyjskim. Policya śledziła go zrazu.

Rychło okazało się, że ojciec Juliusz jest niezwykle tępy umysłowo, tak poczciwie niedołężny, że rozwiały się wszelkie podejrzenia co do jego osoby, a nawet agenci Dubois odprowadzali go po przyjacielsku do domu, gdy niepewny chód groził mu rozbiciem głowy o ścianę. Jednego miał tylko przyjaciela Franciszka, odźwiernego u Panien Wizytek przy ulicy Notre Dame des Champs. Odwiedzał go co wieczór za specyalnem pozwoleniem matki Przełożonej, która powierzyła Juliuszowi sporządzenie materacy dla swego zgromadzenia, a temsamem ułatwiła mu wstęp do świętego domu. Klasztor Wizytek, jako schronienie pań i panien zacnego rodu, otwierał gościnne podwoje przed zakonnicami z prowincyi, przejeżdżającemi przez Paryż, nie było też tygodnia, by pokój gościnny był wolny.

Cóż tedy działo się w zaciszu murów klasztornych? Zatrzymujące się tutaj podróżne były co do jednej, bez wyjątku wysłankami partyi rojalistów, używanemi do porozumiewania się z Paryżem. Portyerem był niepoprawny szuan, Jan Carbon, który nie zgodził się na zawieszenie broni w r. 1796 i schronił się wówczas do Paryża; tu służył nadal swemu stronnictwu, za pośrednictwem Limoelana i Wirginii Grandeau znosił się z wodzami. Wszystkie rozkazy, wydane w Anglii, raporty z Bretanii i Południa ogniskowały się na ulicy Notre Dame des Champs. Juliusz i Franciszek byli kolportерami wiadomości i wskazówek, nadsyłanych z różnych gniazd powstańczych.

W dniu osiedlenia się Saint Régeant'a u modystki zasiedli obaj przyjaciele nad szklankami wina w loży odźwiernego i naradzali się pocichu.

— Nadeszła — mówił Limoelan — pora wykonania pomysłu Saint-Régeant'a, przyjętego przez Jerzego i Hyde'a. Jest on właściwie bardzo prosty. Trzeba się postarać o wózek, konia, beczkę prochu i starą strzelbę. O konia i wózek tobie najłatwiej się postarać i przechować póki nie przyjdzie czas.

— Mam je już pod ręką. To koń i wózek do przywożenia jarzyn i mięsa do kuchni klasztornej.

— Zastanów że się! Gdyby poznano, czyją ten zaprzęg własnością, gdyby policya tu wpadła — mogłaby uwięzić zakonnice pod zarzutem współudziału! Trzeba to dobrze rozważyć... Nie wolno nam narażać zacnych niewiast i mieszać do tak niebezpiecznego przedsięwzięcia... Wózek musi być podobny do setek innych, by go nie można rozpoznać, gdyby przypadkowo zostały z niego kawałki. Bez konia możemy się ostatecznie obejść. Nasze siły wystarczą do zaciągnięcia wózka na wskazane miejsce.

— Nie — to niebezpieczne! U pewnego ogrodnika jest wózek i stara szkapa; namówię go, by mi je odprzedał. Odda mi je niedrogo i przetrzyma u siebie do upatrzonej chwili. Pewny to człowiek, nie wyda nas. Sam się zresztą wcale nie naraża. Wystarczy na to 20 dukatów. O beczkę prochu i o strzelbę Saint-Régeant sam się wystara. Przygotuje całą maszynę, my ją na wóz wtoczymy...

— Kiedy nastąpi puszczenie jej w ruch?

— To będzie zależało od okoliczności. Saint-Régeant układa zamach i uprzedzi nas, gdy będzie czas.

Bez cienia wahania układali ci trzej zgładzenie bohatera, na którym Francya takie pokładała nadzieje. Śledziła wówczas policya pałacowa i ludzie Dubois Jakobinów, którzy cicho siedzieli, zasięgała języka o Filadelfach, którzy działali jedynie w sferze teoretycznych roztrząsań — a ci, których Fouché jedynie się obawiał, zmylili na jakiś czas tropy specyalnie sobie przydzielonych szpiegów i gotowali na najbliższe dni przewidywany zamach. Po dwu dniach daremnego oczekiwania na Saint-Régeant'a u bramy Czerwonego Lwa, Braconneau musiał pogodzić się z myślą, że policyantów jego, umieszczonych na czatach, wyprowadzono w pole, oraz uznać, że jedynym sposobem nawiązania przerwanej nici jest szukanie drugiego jej końca w magazynie pod Błękitnym Kołpakiem.

W śledzeniu pani Lerebourg widział Braconneau niezawodny sposób odszukania Saint-Régeant'a. Trudno było przypuścić, by zakochana para zrzekła się widywania. Być może, iż Saint Régeant i teraz, jak poprzednio, wydalił się na pewien czas. Niezawodnie jednak wróci do Paryża, a gdy będzie tak blisko pani Lerebourg, wykluczona rzecz, by nie zaszedł do ich domu, o ile się nie spotka z Emilią w miejscu z góry oznaczonem. Na sposobność tę należało obecnie czekać.

Aby mieć zupełną pewność, Braconneau zamieszkał przy ulicy Saint Honoré o trzy kroki od Błękitnego Kołpaka i czyhał na Saint Régeant'a w oczekiwaniu niezawodnej sposobności odwetu za lyońską porażkę. Trzeciego dnia po przybyciu Saint-Régeant'a na ulicę du Dragon, jakaś kobieta, niosąca pudło na kapelusze weszła około czwartej do sklepu pod Błękitnym Kołpakiem i zapytała o obywatelkę Lerebourg. Zaproszono ją na piętro, gdzie młoda kobieta pomagała mężowi w porządkowaniu próbek. Kupiec podszedł do przybyłej, czem jej może służyć.

— Przychodzę, obywatelu, spróbować szczęścia, — może żona zechce obejrzeć piękne koronki. Okazyjna to sprzedaż, w każdym razie niedostępna dla małej firmy, jak moja, a dla waszego magazynu drobiazgowa.

— Trzeba to obejrzeć; Lerebourg mile był ujęty pochlebnym wstępem. Ależ, pani łaskawa, to alby kościelne, jak widzę. Wspaniałe, niezrównane! To znowu obrus na ołtarz... skądże to wszystko?

— Tego nie mogę powiedzieć. Cena za wszystko wynosi dwa tysiące czterysta liwrów w złocie. Jeżeli wam to odpowiada, weźcie je, a mnie wręczycie gotówkę. To cena najniższa, z której ja nie dostaję ani grosza procentu...

— Cóż tedy panię skłania do pośredniczenia?

— Chęć dopomożenia dotychczasowym właścicielom koronek, i prawdę mówiąc, nadzieja zyskania u was opustu na wstążkach, potrzebnych do mych kapeluszy.

Proponuję zwykłą wymianę usług; przypuszczam, że nie macie nic przeciwko temu.

— Przyjmuję z największą chęcią; wprawne oko Lerebourga oceniło szybko, że koronki, które z nabożeństwem brał w rękę, warte były conajmniej czterykroć od postawionej ceny. Natychmiast przyniosę tu pieniądze. Uważam za zbyteczne zdradzać prz d pannami sklepowemi naszą transakcyę.

Jakoż zszedł na dół, a kobiety znalazły się same. Modystka dobyła szybko szczelnie zwinięty bilecik i wręczyła go Emilii z temi słowy: „Proszę przeczytać na osobności. Pisze Wiktor Leclerc". — Emilia okryła się pąsem. Zawahała się nawet. Jednakże na odgłos kroków powracającego męża, ukryła spiesznie list w kieszeni.

— Oto pieniądze obywatelki. Nie zależy wam zapewne na wystawieniu formalnego rachunku? Na wypadek podobnej okazyi, polecam się łaskawej pamięci.

Modystka przyjęła rulon złota, podany przez kupca i ukryła go w rzeczy torebce. Skłoniła się pani Lerebourg — prosząc:

— Pragnęłabym obecnie obejrzeć najświeższe wzory wstążek do przybrania sukien i kapotek.

— Proszę obywatelkę na dół; zejdziemy do składu, gdzie wskażę półki wstążek i jedwabi.

Oddalili się oboje, zostawiając Emilię samą. List, o którego posiadaniu wciąż się upewniała ruchem ręki, był silną pokusą. I jakżeż się oprzeć chęci dowiedzenia się o losach Saint Régeant'a, o widokach rychłego połączenia się? Gdzieś bardzo głęboko w duszy odzywał się nieśmiały głos nagany z powodu takiej lekkomyślności. Jakto! odważyć się na usłuchanie podszeptów namiętności, któraby nietylko ją narażała, lecz i męża wciągała w kłopotliwe położenie? Bo nie mogła dłużej nie wiedzieć, że Saint-Régeant spiskował. Czyż to nie było dla niej najlepiej, że ich rozdzieliła czujność policyi? A teraz, gdy jej zupełnie zniknął z oczu, nie byłożby szaleństwem samej wpadać w samotrzask, jakim mógł być ich stosunek? Nie pozostawało jej nic, jak podrzeć list bez czytania i wrzucić w ogień kominka. Byłoby to stanowczem zakończeniem sprawy, z którego ona wyszłaby z honorem, bez cienia nawet podejrzenia. Słabość jej dla pięknego szuana byłaby snem przelotnym. Takie wyjście doradzał rozsądek. Miłość dowodziła wręcz przeciwnie i przekonywująco. Otwarła list i odczytała. W krótkich zamykał się słowach: „Jeżeli mię, droga Emilio kochasz i chcesz widzieć, zajedź na ulicę Dragon 35, do mej pośredniczki, p. Wirginii Grandeau. Przyjść możesz bez wszelkiej obawy, a niewymownie mię uszczęśliwisz. Wiktor".

Po przeczytaniu Emilia tak postąpiła z listem jak jej rozsądek poprzednio doradzał: spaliła go nad świecą, a resztki wrzuciła do kominka. Ogarnęła ją zaduma. Oto ta kobieta, przybyła w sprawach pozornie, praktycznych, dała przytułek Saint Régeant'owi. Starała się uprzytomnić sobie zewnętrzny jej wygląd. Miała lat conajmniej 40, ostre nieładne rysy, współzawodniczyć z Emilią nie mogła. Poczuła dla modystki niewymuszoną życzliwość. Iść do magazynu kapeluszy mogła każdej chwili, bez najmniejszego narażenia się. Przyznała, że pomysł Saint Régeanta był, ze względu na nią, dogodny i roztropny. Należało upewnić się, kiedy i jak mogą się zobaczyć. Postanowiła nazajutrz próbować szczęścia. Od zniknięcia Saint-Régeant'a raz jedyny wyszła z domu, by w ogrodach tuileryjskich odetchnąć świeżem powietrzem. Braconneau już dyabli brali z niecierpliwości na bezowocnie strzeżonym posterunku, to też powitał on wyjście Emilii z uczuciem rzetelnej ulgi.

Młoda kobieta zwróciła się w kierunku Palais-Royal. Tam wzięła dorożkę i pomknęła brzegiem Sekwany. Braconneau dobrze musiał spieszyć, by nie stracić jej z oczu na ludnych ulicach. Już, już, byłby zmylił tropy obok Mennicy, lecz wehikuł wynurzył się pomyślnie na wybrzeżach augustjańskich,

i dech prawie tracąc, lecz w najważniejszej dopadł chwili, gdy Emilia wysiadła na ulicy du Dragon. Zdziwiony był, gdy kazała czekać woźnicy i wsunęła się w ciemny zaułek. Obejrzał skrupulatnie dom pod l. 35, lecz nie znalazł nic zastanawiającego. Szyld modystki podsunął mu wątpliwość, czy nie trudził się nadaremnie. Po dłuższym namyśle dziwnem mu się wydawało, że pani Lerebourg szukała strojów na podrzędnej ulicy, w nieznanej firmie, choć domy pierwszorzędne stały przed nią otworem. Powiedział sobie, że policya powinna chwytać przedewszystkiem okoliczności nieprawdopodobne. Przyrzekł sobie dowiedzieć się w jak najkrótszym czasie, co sprowadziło Emilię na ulicę Dragon 35. A umiał czekać cierpliwie i wytrwale.

Emilia zadzwoniła na pierwszem piętrze do drzwi Wirginii Grandeau, a wprowadzona przez starą Maturynę znalazła się w salonie prób. Stąd było przez przepierzenie wyraźnie słychać głosy robotnic, to też modystka poleciła pannie starszej przynieść kapelusz, właśnie wykończony i przymierzyła go rzekomej klientce. Robotnica dostarczyła innych okazów i po kilkuminutowej naradzie pani Lerebourg dobrała sobie śliczny kapelusik aksamitny, który sama miała zabrać. Ledwo panna zamknęła za sobą drzwi pracowni, Wirginia zaprowadziła gościa ciemnym korytarzem za kuchnię, odsunęła zwierciadlaną ścianę i wprowadziła młodą kobietę do kryjówki:

— Macie kwadrans czasu. Dłużej byłoby niebezpiecznie. — Drzwi za sobą zawarła i młodzi ludzie znaleźli się sami w całem słowa tego znaczeniu, jakby od świata odcięci. I nie bardziej pewnym siebie, lecz onieśmielonym był Saint-Régeant w tej chwili. Zbliżył się do Emilii, ujął ją za rękę i ku dwum jedynym krzesłom poprowadził, obok niej siadając.

— Takieżto pańskie obecne mieszkanie? — zauważyła smutno Emilia.

— Miałem przykrzejsze, a stokroć niebezpieczniejsze kryjówki.... Jak w Storbikan naprzykład, podziemne zajęcze nory, bez światła a niekiedy i bez jadła, nie pałace to były... Jak wojna, to wojna... Skoro zwyciężymy skończy się tułaczka...

— Czy zwyciężycie?! Przedsięwzięcie wasze jest szaleństwem! Czyż jednostka, tonąca w odmęcie Paryża, strzeżona i skrępowana ma dość siły, by je dokonać? I to w zapasach z Bonapartem, otoczonym nimbem zwycięzcy?

— Nie mówmy o tej sprawie, Emilio, okrutną, wstrętną polityką nie zatruwajmy tych krótkich chwil, które nam dano razem spędzić. ...Anielska dobroci! nie zapomniałaś o biednym Saint Régeant! Tonąc. jak się wyraziłaś w odmęcie Paryża, tobie zabieram spokój i pogodę życia. Zmartwień ci przyczyniam. Wybacz mi, najdroższa, uśmiechem swym cudownym rozjaśnij mą smutną celę.

— Przychodząc tu postąpiłam bardzo nierozsądnie. Lecz zbyt wiele cierpiałam zdala od ciebie, bez najmniejszej wieści. Posiadasz dziwną moc nademną, widno opanowałeś mą wolę, skoro nie umiem chcieć tego, coby nie było twojem chceniem, skoro drżę na myśl o grożącem ci niebezpieczeństwie.

Saint Régeant tkliwiej na nią spoglądał, mocniej ściskał rękę Emilii i schylając się tuż do jej ucha, szeptał:

— Jeżeli dzielisz me pragnienia, bądź mi dobrą, pozostaw, dla osłodzenia samotności, rozkoszne wspomnienie...

Brouiła się odruchowo, wstydem lica spłonęły.

— Mam dziś czas bardzo ograniczony... musisz się zadowolić tem, co masz... A zresztą ona może nas zajść znienacka. O! Saint Régeant!

Ujął ją w ramiona i palił oddechem. Do szału jej pożądał, podniecony młodzieńczem uniesieniem, któremu się trudno oprzeć. I byłaby mu uległa, gdyby za drzwiami nie posłyszeli odgłosu kroków, przywołujących do rzeczywistości. Wymknęła się z jego objęć, drżąc z pragnienia a zarazem obawy i błagała:

— Nie, nie teraz, kiedyindziej — zaklinam...

— A jeżeli mię przedtem uwiężą, zabiją?

Z jękiem bolesnym osunęła się w jego ramiona. Wiedział i czuł to, jak bardzo go kocha, iż nie zawahała się wobec wyboru między jego szczęściem, a swoją czcią niewieścią. Niewypowiedzianej doznał radości. Uspakajał Emilię z troskliwością, współmierną usiłowaniom, które ją z równowagi wytrąciły.

— Nie obawiaj się, najdroższa, nie lękaj niczego, jestem tu zupełnie bezpieczny. Będziesz tu mogła wkrótce powrócić, w nagrodę za dzisiejszą mą uległość. Jestem twym posłusznym niewolnikiem i będę czekał na nagrodę, póki mi nie raczysz jej przyznać.

Długi pocałunek był zapłatą jego ustępstwa. Jak



— Znajdzie tu pan książki i przybory do pisania.

w ekstazie zwarły się ich usta, aż bladość okryła oblicza a dreszcz przeniknął na wskróś.

— Istotnie ulatwiasz mi zasługę panowania nad sobą — rzekł z westchnieniem. Ręką przesunął po czole i żywo się odezwał:

— Powiedz mi, Emilio, jak się tu dostałaś, czy nie zauważyłaś nic podejrzanego dokoła domu, czy nie byłaś śledzona?

— Przez kogóżby? Mąż mój nic nie podejrzewa, wie, że jestem u modystki. Dorożka czeka, by mię odwieźć z nowym kapeluszem. Naturalnie, okaże się potrzeba poprawek i wrócę z nim za dwa dni.

— Za dwa dni! — powtórzył radośnie.

— A ponieważ dłużej tu zabawię, wybiorę się pieszo, by osobom ciekawym wyprawa moja nie wydała się zbyt długą. Znam już drogę, nie widzę najlżejszej przeszkody...

— Droga, droga Emilio! Taka dobra, oddana!

— A raczej szalona! Czemżeby jednak było życie bez szczypty szaleństwa? Ponure, płaskie, nie warte człowieka! No, żegnaj na razie! Do rychłego zobaczenia!

Ucałowali się jeszcze, niekrępowani w samotności. Niebawem Saint Régeant zapukał w ukryte drzwi. Otwarły się po chwili i panna Graudeau w milczeniu wyprowadziła Emilię. Na rogu ulicy czekał drzemiący woźnica; kazała mu wrócić na plac Palais Royal, skąd wyruszyła. Po drugiej stronie ulicy tkwił w brudnym ścieku, jakby w dach pilnie wpatrzony, Braconneau i nie stracił z oczu żadnego ruchu ni słowa pani Lerebourg. Ujrzał ją spokojną obładowaną ogromnem pudłem, możnaby przysiądz iż najwidoczniej kobieta dokonała zupełnie zwykłej czynności; kupiła nowy kapelusz. Ale Braconneau stracił z oczu Saint-Régeanta. Postawił sobie za pewnik, iż każdy krok Emilii zmierzać będzie do spotkania się z kochankiem. Dlatego to wnioskował, że w obecnej jej wizycie i Saint Régeant był interesowany, że dom pod l. 35 i sama pani Graudeau zasługują na szczególniejszą opiekę. Nie zadawał sobie trudu, śledzenia pani Lerebourg aż do jej domu. Była mu ona jedynie nicią, wiodącą do odszukania Saint-Régeant'a. Węch wyżła policyjnego wyczuł, że młody royalista ukrywa się w tym właśnie domu. Ale gdzie? Jak? U kogo? To była zagadka do rozwiązania. Należało przedewszystkiem zapoznać się z aptekarzem z parteru. Prawdopodobieństwo, że nie chybi celu, było 99 na 100. Agent zdawał sobie doskonale sprawę z przebiegłości i zręczności przeciwnika. Nie chciał niczego zaniedbać. Wszedł do apteki i zmierzył wzrokiem aptekarza, małego, mizernego i niemłodego już człowieka. Zażądał senesu.. Farmaceuta odezwał się tonem pouczającym:

— Czyszczenie jest polecenia godnym zabiegiem przy każdej zmianie pogody, a zwłaszcza na wiosnę. Senes najlepiej odpowiada celowi.

Ważył strączki w torebce papierowej, a tymczasem Braconneau z najobojętniejszą miną obliczał rozmiary ścian, oceniał grubość podłóg, zerknął do sąsiedniego laboratoryum, które wychodziło na małe, ciemne podwórko.

— Szczurów chyba tu nie macie, obywatelu.

— Gdzież tam... Dobrze się i mnie i żonie dają we znaki.

— Ach, to obywatel żonaty? A gdzież mieszkacie?

— Zajmujemy trzy frontowe pokoje na drugiem piętrze. Wysoko, ale wygodnie. Obok nas tylko tapicer i kucharka obywatelki Grandeau — tak więc jesteśmy jak sami. — Co zaś do szczurów...

— Aha, obywatelka Grandeau... modystka, nieprawdaż? — Ładne sobie dziewczę, ma przystojnego bruneta kochanka — dłuższy czas go nie było?...

Niewymowne zdumienie wzmagało się na twarzy aptekarza w miarę słów Braconneau.

— Obywatelka Grandeau i ładne dziewczę? Obywatelka Grandeau i kochanek? Zartujecie, obywatelu. — A może mieszacie ją z którą z panien sklepowych. — Jest tam parę młodych, zwinnych, którym chyba nie brak wielbicieli. Lecz nie ośmieliłyby się nigdy przenigdy tu ich sprowadzać. Znaleźliby się razem za drzwiami i to natychmiast!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jubileusz nestora muzyków polskich: Dr. Władysław Zeleński w swym gabinecie.



Z życia prowincyi: Ustępujący naczelnik Urzędu podatkowego w Samborze, p. Antoni Dominikowski, w gronie uczestników pożegnalnej uroczystości.

Jubileusz nestora muzyków polskich.

Nestor muzyków polskich Wł. Żeleński obchodzi w tym tygodniu podwójny jubileusz: jubileusz 25-letniej działalności w Konserwatoryum krakowskiem i 50 letni jubileusz kompozytorski.

W uroczystym tym obchodzie, który ma znaczenie nie tylko lokalne krakowskie, bierze niewątpliwie udział cała Polska, która wielkiemu pieśniarzowi z „Bożej łaski" ma do zawdzięczenia najszczytniejsze muzyczne utwory, jakie po epoce Szopena i Moniuszki duch polski wydał. Zbytecznem byłoby przypominać ten długi szereg dzieł, który jest pomnikiem sławy znakomitego kompozytora. Dodać tylko można, że jeszcze w sędziwym wieku obdarza nas Zeleński dziełem, jakiego w dotychczasowej jego twórczości niema: wielką symfonią A-mol, nagrodzoną na konkursie Filharmonii warszawskiej, którą po raz pierwszy Towarz. muzyczne na koncercie jubileuszowym wykona. Przy pisaniu tej symfonii stała autorowi przed oczyma postać Wandy i jej tragiczne losy.

Cały Kraków bierze udział w hołdzie, oddanym twórcy „Goplany"; spieszy też i redakcya „Nowości Illustrowanych" z gorącem, serdecznem życzeniem:

Ad multos annos — wielki piewco narodowy.

Z życia prowincyi.

W tych dniach urzędnicy podatkowi w Samborze żegnali uroczyście swego naczelnika p. Antoniego Dominikowskiego, starszego zarządcę podatkowego, z powodu jego przejścia po 37 latach służby na emeryturę.

Pożegnanie było skromne, ale bardzo serdeczne. Rano wszyscy funkcyonaryusze urzędu podatkowego udali się wraz ze swym byłym naczelnikiem na Mszę św., którą na jego intencyę zamówiono, poczem zebrali się w lokalu urzędu, gdzie w przystrojonym zielenią pokoju przemówił do naczelnika w bardzo serdecznych słowach kontrolor Urzędu podatkowego oraz jedna z oficyantek, przyczem wręczono mu skromny upominek od całego personalu.

Rozrzewniony do łez tymi objawami życzliwości podziękował p. Dominikowski gorąco za te dowody szczerych uczuć, które były wymownym wyrazem tej sympatyi i uznania, jakie zdobył sobie ustępujący naczelnik w ciągu swej długoletniej działalności służbowej.

Uroczystość pożegnalna zakończyła się wspólną fotografią, którą zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Żałobny tydzień: Ś. p. dr. Bronisław Guńkiewicz, adwokat i radca m. Krakowa.





Nowa komedya polska: „Dyabeł i Karczmarka" Stefana Krzywoszewskiego na scenie teatru „Rozmaitości" w Warszawie.
(Fot. Wł. Sztyblewski, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Wiadomość, którą w ubiegłym tygodniu podzieliłem się z Szanownymi Czytelnikami, w jaki sposób najłatwiej i najprędzej można dojść do majątku, ewentualnie nawet zostać milionerem, podziałała na cały świat elektryzująco. Pokazuje się, że między nami jest najwięcej kandydatów na milionerów, czemu ja się ostatecznie nie dziwię, bo to przecież bardzo przyjemne zajęcie siedzieć sobie w zacisznym pokoiku i obcinać kupony.

Tem się nikt chyba nie zmęczy, nawet członek partyi socyalno-demokratycznej pracowałby w ten sposób bardzo chętnie i przez dziesięć godzin dziennie.

Otrzymałem też ni mniej ni więcej, tylko aż czterdzieści siedm zapytań z różnych stron kraju o bliższy adres autora, jedna z prenumeratorek prosi nawet o dyskretną informacyę, czy jest on młody, przystojny i czy przypadkiem, broń Boże, nieżonaty... Znalazło się także trzech jegomościów, którzy oświadczyli, że chętnie przeczytają dzieło, jeśliby można je gdzieś pożyczyć, nie potrzebując naturalnie nic zato płacić.

Ci dojdą z pewnością najprędzej do miliona, prędzej nawet, niż niżej niepodpisany kronikarz, który ma wprawdzie już nożyczki (któryż z dziennikarzy obszedłby się bez nich?...), nie posiada przecież obligacyi, od których mógłby obcinać kupony. Nie traci przecież nadziei, że prędzej, czy później, doczeka się tego i z należytą pilnością i nabożeństwem studyuje rozprawę profesora Górki, która już opuściła prasę drukarską.

Nic dziwnego, że wobec tego zapomnieliśmy nawet o biednym sułtanie tureckim, który spakował już kufry i zmobilizował swój harem, aby być gotowym do wyjazdu do Małej Azyi, skoro nieproszeni goście wkroczą w mury Konstantynopola, nie interesuje nas także los austryackich zastępców dyplomatycznych, z którymi rząd serbski obchodzi się nadzwyczaj uprzejmie i ze „staroserbską“ gościnnością nie chce się w żaden sposób zgodzić na opuszczenie przez nich granic państwa. Konsul Taby z Mitrowicy był na tyle niegrzeczny, że uciekł stamtąd, co się zaś stało z panem Prohaską, dotąd nie wiadomo.

Rząd austryacki zajął się tą sprawą bardzo seryo i w energicznej nocie do serbskiego ministerstwa zaznaczył wyraźnie, że, jeśli do czterdziestu ośmiu godzin nie otrzyma odpowiedzi, wyciągnie z tego dalsze konsekwencye, to jest, mówiąc innemi słowy, będzie dalej czekać, póki się pan Prohaska sam nie zgłosi.

Panu Berchtoldowi zaproponowano, aby, zamiast „przybierania groźnej postawy“ ogłosił raczej pieniężną nagrodę za odnalezienie zguby, a Serbowie z pewnością złakomią się na nią i nie będą robić dalszych trudności.

W każdym razie widzimy z tego, jak zmienne są losy ludzkie!

Nie tak to dawno, jak śmialiśmy się z Serbów, którzy prawie na klęczkach prosili, aby, jeśli już nie dla króla, to przynajmniej dla ich nierogacizny otworzyć granice monarchii austryacko-węgierskiej, dziś z respektem patrzymy, jak Serbia się „sztorcuje“ i chciałaby dyktować prawa, jeśli już nie całej Europie, to bodaj swej najbliższej sąsiadce, Austryi. Radziłbym też każdemu, by zawczasu zaczął się uczyć po serbsku!

Król Piotr, po naradzie z bałkańskimi kolegami, oświadczył wyraźnie, że Serbowie muszą mieć własne swoje śledzie i sardynki, wobec czego potrzebują gwałtownie portu na wybrzeżu morza Adryatyckiego, austryacko-węgierskie ministerstwo spraw zagranicznych, po zasięgnięciu opinii fachowców, stara się jednak wytłumaczyć, że *primo* w morzu Adryatyckiem niema wcale śledzi (patrz zoologię Nowickiego na klasę pierwszą szkół średnich), *secundo* sardynki należą po połowie do Austryi i Włoch. Ona te mocarstwa nie mogą się też w żaden sposób zgodzić, aby kto inny łapał je także, sprzeciwią się więc, choćby nawet z bronią w ręku, wydaniu Serbii karty rybołowczej.

Europa zaś czeka spokojnie „z bronią u nogi“, jaki będzie epilog tragedyi bałkańskiej, która skończy się najprawdopodobniej w ten sposób, jak miałem przyjemność ongiś przepowiedzieć.

Turek, któremu zapewniono *status quo* na Bałkanie, powie sobie, „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły“ i wyniesie się do Azyi, król Symeon II, *recte* Ferdynand bułgarski, przywdzieje koronę carów bizantyńskich i podzieli się z kolegami sukcesyą po sułtanie, a wówczas dopiero reszta Europy weźmie się za łby i „zbrojny pokój“ zamieni się w „pokojową wojnę“, ku wielkiemu zmartwieniu wszystkich propagatorów i propagatorek światowego rozbrojenia.

Trójprzymierze trzyma się przecież, jak dotąd przynajmniej, dość silnie i popiera się wzajemnie, choć Niemcy, jak zwykle trzymają się z rezerwą i ostatecznie nie miałyby nic przeciw temu, aby Austrya znalazła się w położeniu bez wyjścia, gdyż wówczas możnaby coś na niej wytargować.

Tak samo usposobiony jest *signore Italiano*, który pożądliwem okiem spogląda na Tryest i wybrzeża dalmatyńskie.

Sytuacya jest więc bardzo poważna, każdego dnia i każdej godziny można się spodziewać niespodzianek, podobnych owej, jaką zrobił światu Związek bałkański, który, zamiast być bitym, jak przepowiadali dyplomaci, wali Turka, aż trzaski lecą!

W ostatniej chwili dowiadujemy się wprawdzie, że Bułgarzy wzięli podobno w skórę, depesze odnośne nadeszły jednak *via* Konstantynopol, więc nie są zbyt wiarygodne.

Gorzej daleko, że na polu bitwy wybuchła cholera i szerzy się coraz bardziej. Grono poważnych obywateli, miasta Krakowa wniosło też momoryał do fizykatu, aby stanowczo zakazał dalszej walki z obawy rozwleczenia zarazy po Europie.

Czy się to na coś przyda, niewiadomo, królikowie bałkańscy mają bowiem tak seryo minę, że gotowi sobie nic nie robić nawet z rozporządzeń krakowskiego magistratu...

Ze względu na ową zmienność fortuny, o której już uprzednio wspomniałem, nie jest także wykluczonem, że może szczęście, zwrócone dotąd ku Turkom odwrotną stroną, pokaże im wreszcie swój frontowy cyferblat. Na tem wyszedłbym nai epiej ja sam, polegając bowiem na zapewnieniach dyplomatów, założyłem się z jednym z mych politycznych przyjaciół o tuzin kwargli, że Turcy zwyciężą, a obecnie, dopóki nie jestem jeszcze milionerem, ciężko będzie zdobyć się na taki wydatek!

Trudno jednak uwierzyć, aby zaszła taka zmiana, raczej możnaby przypuścić, że wyschnie krakowskie błoto, ukończy się przed Nowym Rokiem budowę szeroko-torowego tramwaju lub na prawdę zacznie roboty kanałowe.

O tem wszystkiem mógł się zresztą, każdy dowiedzieć z tak zwanego niesłusznie „Żywego dziennika“, który się odbył w Starym Teatrze w dniu 17 listopada, lecz życia w nim było stosunkowo bardzo mało.

Mieliśmy w Krakowie natomiast sensacyę, która zwróciła ogólną uwagę na nasze szkolnictwo ludowe i stała się powodem, że i kronikarz musi mu poświęcić kilka słów, ze względu na brak miejsca nie tyle przecież, ileby pragnął.

W ubiegłą niedzielę odebrała sobie życie w biurze inspektora Rady szkolnej okręgowej młoda, bo zaledwie dwadzieścia dwa lata wieku licząca nauczycielka.

Nie wchodzimy w motywy samobójstwa, gdyż przedstawiają je różni ludzie w rozmaity sposób, opinia publiczna zgadza się przecież na jedno, to jest, że w szkolnictwie ludowem nie dzieje się tak, jakby powinno. W tej skomplikowanej machinie pojedyncze kółka nie funkcyonują należycie, całość, zamiast poruszać się gładko, trzeszczy i piszczy!

Oj, opłakany to los takiego białego murzyna, jakim jest tymczasowy nauczyciel ludowy lub nauczycielka, należący *ipso facto* do intelligencyi a traktowani gorzej, niż niejeden woźny lub pachołek!

Nikt chyba nie ma tylu i tak wymagających przełożonych, jak oni! Pominąwszy już Radę szkolną krajową, okręgową i miejscową, do traktowania z góry takiego galicyjskiego głodomora, pobierającego za swą ciężką pracę *aż czterysta guldenów* rocznej płacy, rości sobie obszarnik, wójt, ksiądz proboszcz, dobrze jeszcze, jeśli nie okazuje mu swej wyższości i organista, który w poczuciu swej godności zalicza się też do stanu duchownego...

Ostatecznie byt kierownika szkoły jest jeszcze dość znośnym, ma przynajmniej mieszkanie i kawałek ogrodu, choć minęły już te dobre czasy, kiedy to przed wpisami trzeba było przygotować kilka, a nawet kilkanaście kurników na pomieszczenie rozlicznych okazów ptasiego rodu... Dziś co najwyżej, przyniesie babina kilo cukru, aby „panu profesorowi“ osłodzić jako tako jego gorzki żywot.

Ale zato czeka go nagroda za jego pracę, gdyż po czterdziestu latach nienagannej służby otrzymać może od Wysokiej Rady szkolnej krajowej tytuł dyrektora (...naturalnie z uwolnieniem od... pensyi), a jeśli był bardzo lojalnym i podczas wyborów szedł panu staroście na rękę, może nawet i srebrny krzyż za długi z koroną, odznaczenie, które staje się udziałem wcale zaufanych prezydyalnych i szarż wojskowych, niżej feldfebla!

Zanim jednak zostanie się „panem dyrektorem“, lub „panią dyrektorką“, trzeba przedtem przepędzić kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt lat jako zwyczajny światłodawca, nieraz gdzieś na głębokiej prowincyi, kędy świat jest zabity deskami, a pocztę odbiera się w najlepszym wypadku raz na tydzień i to wówczas tylko, jeśli ktoś miał interes w miasteczku...

I w takiej zakazanej dziurze trzeba umieć wyżyć za czterysta guldenów rocznie, trzeba się za te pieniądze ubrać i odłożyć coś na czarną godzinę.

Nie wspominam już o tem, że czasem zdarzy się lekkomyślny człowiek, który w tych warunkach pomyśli o założeniu ogniska rodzinnego... Zamknięt sam klepać biedę, ma przynajmniej do tego towarzysza.

Trzeba zaś i o tem wiedzieć, że ową czterystuguldenową posadę nie tak łatwo otrzymać, na każde bowiem opróżnione miejsce jest po tuzinie kandydatów i kandydatek, a teraz zwłaszcza, protekcya odgrywa ogromną rolę. Można być (słowa jednego z nauczycieli) głupim jak but, jeśli się jednak ma szczęście i potrafi zyskać przychylność władz przełożonych, dojdzie się do zaszczytów i zyska opinię „wytrawnego pedagoga“.

Jeśli się jednak nie potrafi zastosować do okoliczności, trzeba pędzić bardzo marny żywot i odmawiać sobie wszelkich przyjemności, ba nawet nieraz musieć zapomnieć o tem, co jest koniecznem, a co mają ludzie, którzy nie potrzebowali ślęczeć przez lat kilka lub kilkanaście nad książką.

Od nauczyciela ludowego wymaga się, by swemu zawodowi poświęcił się z całem oddaniem, nikt przecież nie myśli o tem, aby wyprawić jego byt i wynagrodzić go za to odpowiednio.

A każdy chyba przyzna, że praca w szkołach ludowych jest równie wytężająca, jak nauczanie, choćby nawet na wszechnicy, tam bowiem trzeba nauczyć, tu się tylko „wykłada“, bez względu na to, czy kto rozumie, czy nie. Nie wiem, co jest większą sztuką, czy przez *choćby sześć godzin tygodniowo* odczytywać ze skryptu tajnik wysokiej wiedzy, czy też *przez dwadzieścia kilka godzin tyg dniowo* pakować w zakute pały wiadomości elementarne, mające później stanowić podstawę całego wykształcenia.

Nowa komedya polska.

Pięknie zaznaczył 10 lecie swej powieścio- i dramatopisarskiej działalności znany literat i publicysta p. Stefan Krzywoszewski — dając scenom polskim nowe dzieło — „Dyabeł i Karczmarka“, wystawione przed kilku dniami w teatrze warszaw. „Rozmaitości“. Jego treść obraca się w takim samym na pół realnym, na pół fantastycznym świecie — jak znana również krakowskiej publiczności z wystawienia przed dwoma laty „Rusałka“. W długim szeregu jego powieści, jak „Pani Julia“, „Boa“, „Zmierzch“, oraz dzieł scenicznych: „Piękna ogrodniczka“, „Małe Dusze“, „Tęcza“, „Przywódca“, „Rusałka“ — jest to utwór równy tamtym wartością; zalety jego podniosła z uznaniem krytyka.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy dwie sceny z „Dyabła i Karczmarki“.

Polska trylogia w teatrze krakowskim.

(Do illustracyi na str 4.)

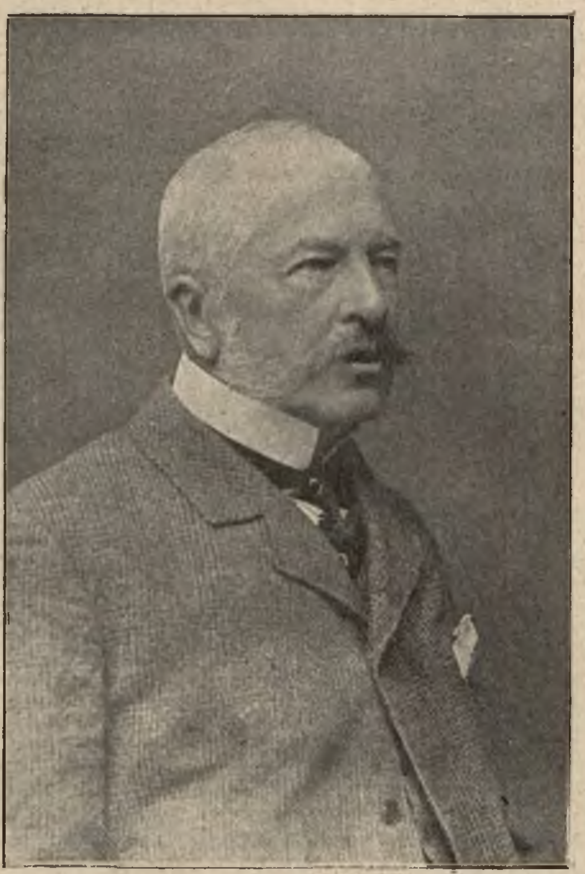
W ostatnich tygodniach teatr krakowski podjął i niemal już wykonał wielką rzecz: wystawienie trylogii dramatycznej Lucyana Rydla „Zygmunt August“. Wykonane już na scenie dwie pierwsze części trylogu: „Królewski jedynak“ i „Złote więzy“ dały publiczności pojęcie, czem jest to dzieło. Daje ono barwny, w dramatyczną formę ujęty, a oddany prześlicznym, jakby rzeźbionym w najpiękniejszej mowie polskiej wierszem, obraz dziejów, osobistych przeżyć i panowania tego króla, ostatniego z wielkich i jednego z najbardziej nieszczęśliwych jako człowiek Jagiellonów. Wychowanie, nieodpowiednie dla przyszłego monarchy, dane mu przez matkę, smutnej dla Polski pamięci królowę Bonę, młodość oraz pierwszy okres męskiej dojrzałości w pożyciu małżeńskiem z Elżbietą Rakuską — przedstawia „Królewski jedynak“. Dzieje jedynej w jego życiu wielkiej miłości, romans z Barbarą Radziwiłłówną, wdową po Gasztołdzie, zakończony tajemnem poślubieniem jej w Wilnie, oraz przyjęcie, z jakiem spotkał się ten krok młodego króla u umierającego ojca i możnowładców, podburzanych przez Bonę, „uwieńczone“ śmiercią pięknej młodej monarchini — przedstawia część druga — „Złote więzy“. Część trzecią ujrzymy wkrótce, już w końcu tego tygodnia.

Dziełu temu teatr krakowski dał ramy wspaniałe. Nowe dekoracye, umyślnie dla tej sztuki wykonane, zwłaszcza wyobrażające fragmenty widoków Krakowa, przedstawiają wysoką wartość artystyczną.

Poszczególne akty na scenie układały się w obrazy niezmiernie malownicze, świetnie kolorowe, jakby żywcem zdjęte z dzieł jakiego włoskiego mistrza-malarza z czasów Odrodzenia. W grze artystów również było widać wielką staranność, a w głównych rolach przedewszystkiem artyści tej miary, co Wysocka i Adwentowicz, stworzyli postacie, tchnące życiem, namiętnością i tragizmem; nieporównany był również biskup Gamrat w interpretacyi dyr. Solskiego.



Filharmonia warszawska w Galicyi: Dyrektor Zdzisław Birnbaum.



Żałobny tydzień: Ś. p. hr. Jan Szeptycki, długoletni poseł na Sejm krajowy i członek Izby panów w Wiedniu.

Filharmonia warszawska w Galicyi.

Po dziewięciu latach przybędzie w przyszłym tygodniu po raz drugi do Galicyi znakomita warszawska orkiestra filharmoniczna. Muzykalny Kraków i Lwów gotują się na jej przyjęcie, jak na wielkie święto artystyczne, nie tylko ze względu, że jest to jedyna polska orkiestra symfoniczna, ale też dlatego, że jest jedną z najlepszych orkiestr świata. Powitanie świetnej drużyny warszawskiej będzie serdeczne i gorące, a zainteresowanie tymi koncertami jest tak nadzwyczajne, że nawet wiele osób z dalszej prowincyi zachodniej Galicyi wybiera się na te dni do Krakowa. Orkiestra przybywa do nas ze swym niepospolitym dyrektorem, który jej przewodzi od dwóch lat. Zdzisław Birnbaum jest znakomitością kapelmistrzowską, uznaną w całej Europie. Jego głęboka wiedza muzyczna i gorący temperament, połączone z niestrudzoną pracowitością, wydały już rezultaty, stawiając z powrotem orkiestrę na wyżynie najświetniejszych jej czasów pierwszego roku istnienia. Bogate i umiejętnie zestawione programy koncertów wykazują prawie same nowości, wśród nich dwie polskie: „Króla Kofetuę“ Różyckiego i sławną symfonię mistrza Paderewskiego. Do tego ostatniego dzieła sprowadzono z Paryża specyalne instrumenty, po raz pierwszy w niem użyte, t. zw. sarrussofony (rodzaj kontrafagotu).

Nie ulega wątpliwości, że cały Kraków pospieszy w poniedziałek i wtorek do Starego Teatru na tę niezwykłą muzyczną biesiadę.

Żałobny tydzień.

Ostatnich kilka dni zapisało się bardzo obszernie na żałobnej karcie. Nieubłagana śmierć zabrała odrazu kilku wybitnych i cenionych obywateli, pozbawiając kraj tęgich pracowników, a budząc ogólny żal.

W Brukseli zmarł słynny pianista polski Józef Wieniawski. Urodzony w r. 1837, poświęcił się muzyce, podobnie jak brat jego sławny skrzypek Henryk Wieniawski. Wykształcenie muzyczne zbierał u wybitnych ludzi, między innymi był uczniem Liszta. Pracy artystycznej poświęcał się najpierw w Moskwie, a następnie w Warszawie, gdzie objął dyrekcyę Towarzystwa muzycznego.

Przed trzydziestu laty przeniósł się na stały pobyt do Brukseli. S. p. Wieniawski pozostawił obszerny dorobek kompozytorski.

Na obczyźnie, na wolnej ziemi Szwajcarskiej w Rapperswilu zmarł jeden z twórców stronnictwa ludowego w Galicyi dr. Karol Lewakowski.

Urodzony w r. 1840 we Lwowie po ukończeniu studyów, poświęcił się adwokaturze. Jako adjutant generała Czachowskiego i pułkownika Zapałowicza brał udział w wypadkach roku 1863. Następnie zaś w Galicyi poświęcił się pracy publicystycznej. Po raz pierwszy wybrany został posłem do Rady państwa z m. Lwowa w r. 1884. Z powodu różnic z opinią konserwatywnej większości Koła polskiego w Wiedniu przez pewien czas usunął się od działalności poselskiej. Natomiast wtedy założył i rozwinął stronnictwo ludowe, którego był długie lata prezesem. Wybrany ponownie posłem piastował mandat do r. 1897. Ostatnie lata życia spędził w Rapperswilu.

Sfery mieszczańskie lwowskie straciły jednego z najwybitniejszych swych przedstawicieli. Zmarł we Lwowie b. prezydent miasta Stanisław Ciuchciński. Z zawodu majster blacharski, pracą swą i osobistemi zaletami uzyskał zaufanie ogółu mieszczaństwa lwowskiego, a po śmierci prezydenta Michalskiego został w r. 1907 wybrany prezydentem Lwowa. W radzie m. lwowskiej zasiadał przez 20 lat. Jako prezydent odznaczał się bezstronnością i chętnie szedł za głosem inicyatywy bez względu na to, z jakiej strony ona była podnoszona.

I Kraków nie został ominięty nieubłaganem przeznaczeniem. Po krótkiej chorobie zmarł tutaj w 55 roku życia dr. Bronisław Guńkiewicz, znany adwokat i członek Rady miejskiej. Urodzony w Tarnowie, syn znanej mieszczańskiej rodziny, ukończył studya prawnicze w Krakowie. Jako adwokat zajmował wśród krakowskiej palestry poważne stanowisko. Przed ośmiu laty ogólne uznanie obywatelskie powołało go na stanowisko radcy miejskiego, z ramienia której wszedł w skład dyrekcyi Kasy Oszczędności. Dr. Guńkiewicz brał żywy udział w pracach wielu krakowskich stowarzyszeń, był jednym z najstarszych członków „Sokoła“ krakowskiego i Tow. strzeleckiego, w którem piastował godność króla kurkowego w roku grunwaldzkim.

Przedwczesny zgon jego wywołał powszechny żal.

W Przyłbicach koło Sądowej Wiszni zmarł, przeżywszy lat 75, hr. Jan Szeptycki, ojciec lwowskiego metropolity. Był on członkiem Izby panów oraz posłem na Sejm i do Rady państwa. W życiu obywatelskiem wschodniej Galicyi zajmował wśród ziemian wybitne stanowisko.

Jeden z synów jego, hr. Kazimierz Szeptycki, przed rokiem ustąpił ze stanowiska prezesa Towarzystwa gospodarczego i wstąpił do zakonu.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy portrety zmarłych: ś. p. Lewakowskiego, Wieniawskiego, prez. Ciuchcińskiego, dra Guńkiewicza i hr. Szeptyckiego.



Filharmonia warszawska w Galicyi: Niezwykły instrument, t. zw. sarrussofon, użyty w symfonii Paderewskiego.

NADESŁANE.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 45.

Zagadka: P—anna. F—irma. P—iza.

Logogryf:

I n n
I r e n a
K a p u c y n
S W i t w i c k i
J e n e r a ł
M a r y a
I t o
O n a
S z o d o
K o r w e t a
S y p i a l n i a
W a r e a b y
B i z o n
R y ś
O n o
S o s n a
K r a k u s y
K a r p i ń s k i

Zadanie do przestawienia: Kto kłamie, ten kradnie

Rebus: Miłość bez grosza a spacer w ulewę długo nie potrwają.

Trójkąt magiczny:

K o n o p n i c k a
O ś m n a ś c i e
N e k r o m a n
O l i m p i a
P ł o n k a
N o s e k
I r m a
C i s
K u
A

Łamigłówka: War, bły, b d. gnu, cis, o h, wir, dno, j r, d n y n, t n ara, b b, a r, woł, kur, kra, n c, n l, era.

Zadanie do przestawienia: Każdy medal ma dwie strony.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Fuchs Czeremchów, K Szumańska Rawa Ruska, M. Arbe bauer Lwów, J Roland Kielce, W Borkowski Kraków, D Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, M Pianecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, K Radoszewski Tarnobrzeg, K. Kaim Radziszów. S Kowalówka Lwów, J Lisowski Kołomyja, K. Szymański Lwów, H. Bahr Sandomierz, H. Debski Stanisławów, H Z gartowska Boguice, K. Michałowski Sambor, D Knobel Radom. J Janowski Kraków, S. Engelberg J sło, H Wojciechowski Sambor, K. Pokorska Stanisławów, Z Mar nowska Olszanica, M. Antosz Bochnia Z Sp rl ng Wiedeń, S Mos yński Stanisławów, K Błachowski sło. I Brzostowski Podgórze, S Bielski Warszawa, T. Mazaraki Radom, H Kwaśniewski Piotrków, K Bernatowicz Zakopane, J W sło ki Lwów, L T maszkiewicz Warszawa, H Kalinowska Łódź K Radz ński Kołomyja, I Rogowski Gniezno G Chyżewski Lwów, J Nowak Podgórze, J Trepka Sandomierz, G Górecki Zakopane, W Ob aczay Morawska Ostrawa, I Sube Konvczyńce, W. Cyżewicz Płock. J Bandrowski Lwów, D Kamocki Warszawa, F Bätterfeld Lwów, J Jahoda Cieszyn G Lisowski Krosno, I Wilczkiewicz Sanok, S Krzyżanowski Podgórze, R Knapik Tarnopol J Poznański Warszawa K Stankiewicz Warszawa, L. Fink Przemyśl, S. Oszacki Warszawa, J. Konczyńska Bierzanów, W. Domański Iwonicz, I. Pick Warszawa, S Wojczyński Petersburg, J Gruber Lwów, J Obst Łódź, K. Kadulski Oświęcim, D. Rosenblum Lwów, A Piękoś Lwów. J Bielawski Stryj, L. Kowalski Kraków, M. Klapholz Rzeszów, M Krawecki Drohobycz. T Lindenbaum Czerniowce, H Sosnowski Kijów, K Starosolska Lwów, S Sokołowski Brody, K Lewicki Poznań, P. Madejski Smoleńsk, J Zygiewicz Stanisławów, M Müller Lwów, H Maciejowska Wilun'ca, R Charzewski Łódź, K. Chabowska Rabka, W. Gramatyka Sambor, J Misiewicz Lwów, K Wiewiórowski Kołomyja, M Lipski Wiedeń. G. Górski Kraków, A Dużak Lwów, S Wyka Kraków, M Tombiński Lwów, K. Lachowska Warszawa, W Potocka Poronin, R Zborowski Radomyśl, M. Tyszecki Kijów, W Nikiel Podgórze. J. Strojek Tarnopol, J. Gruszczyńska Podgórze, K T kliński Płock, A Trzeciak Lwów, M Lichański Sanok, A. Siatka Kraków, H Srokowska Zamość, S. S r ki Sanok, K. Og n k Lublin, J. Zachara Lwów, E. Nowacki Przemyśl, M. Garlińska Lwów, S. Czajkowska Radom, F. Schmidt Cieszyn, A. Gralewski Kraków, C Lipiński Kraków, S. Karwowski Poznań, M Ko bnszewski Jasło, A. Zawada Kraków, I Leszczyński Sambor, M. Gajewska Lwów, K Better K łosz, S. Korytowski Janów, W Ś rski Staszów, S Balicki Lwów, M Dębiński Lwów, W. Ostrowski Skierniewice, M Janik Drohobycz, Z. Serwacki Lwów, W. Rost Rzeszów, F. Bogacki Warszawa, S Siegel Tarnów, J. Więckowski Lwów. H Piątek Podwołoczyska, S. Sułkowski Jasło, C. Wong Rzeszów, S Bukowski Równo, A Biliński Tarnów, M. Gold Witów, W. Stachowicz Lwów, J. Ciesielski Poznań. M. Olszewski Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Bukowski, Równo.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Z półek księgarskich.

Opuścił już prasę drukarnią Józefa Ungra **Kalendarz warszawski,** popularno naukowy illustrowany na rok zwycz 1913

Na treść jego składa się obfity dział informacyjny i literacki, a o poczytności świadczy okoliczność, iż jest to już sześćdziesiąty ósmy rok wydawnictwa.

Dla mieszkańców Warszawy i Królestwa Polskiego jest to wprost niewyczerpane źródło wszelkiego rodzaju najpotrzebniejszych informacyi.

Cena za egzemplarz tylko 60 kop.

MACIERZ POLSKA wydała z dochodów fundacyi im Tadeusza Kościuszki przystępnie napisaną monografię **Hugona Kołłątaja.** Autor pracy, Emil Kipa ujął całość w siedm rozdziałów pod napisami: młodość i wykształcenie, w Komisyi edukacyi narodowej, walka o zasady reformy Rzeczypospolitej, udział w powstaniu Kościuszkowskiem, w więzieniu austryackiem, praca oświatowa na Wołyniu, ostatnie lata, testament. Tekst ozdobiono 14 rycinami, przeważnie po raz pierwszy tu reprodukowanemi. Książka liczy 137 stron druku większego formatu cena 1 kor 20 hal

„Świata Teatralnego“ otrzymaliśmy 3(9) numer za październik, który dzięki doborowej i obszernej treści zasługuje na uwagę i świadczy o stałem podnoszeniu się tego pisma. Najświeższy numer obok obszernej kroniki teatralnej polskiej i obcej, przynosi dalszy ciąg dyalogu Craiga, słynnego angielskiego informatora, o „Sztuce teatru“, studyum Japończyka Szeko Tsubotszi o „Dramacie japońskim“, artykuł M. Dienstla „Praca u podstaw“, przegląd teatrow warszawskich, korespondencye z prowincyi, oraz kilka artykułów o sprawach zawodowych aktorskich i Związku Artystów i Artystek Teatrów Polskich. Pismo to bowiem jest zarazem organem Związku, podjęte i wydawane jego staraniem, o programie obszernym, obejmującym całokształt spraw teatralnych, wypełniającym poważną lukę w naszym czasopiśmiennictwie. Za stworzenie, stały rozwój i utrzymanie tego pisma na wysokim poziomie należy się Związkowi rzetelne uznanie. Od grudnia pismo wychodzić będzie w odstępach dwutygodniowych, co pozwoli na dalsze rozszerzenie treści. Adres redakcyi: Smolna 34 Nr tel. 280 92 w Warszawie

Ze świata kobiecego.

Kobiety w państwach wojujących.

Wypadki bałkańskie interesują i nas — kobiety. Zaciemniony horyzont polityczny, ciągłe odgłosy wojenne, jakie grożą zburzeniem tysięcy ognisk domowych, odwracają naszą uwagę od mody, a natomiast każą nam bacznie śledzić to, co się w około nas dzieje. I ja dzisiaj wyjątkowo porzucam mój zwykły temat, aby w kilku słowach zaznajomić Czytelniczki z naszymi siostrzycami, które na Bałkanie z niepokojem w sercu oczekują wiadomości o swych braciach, mężach i ojcach, walczących na polach bitew.



Suknia spacerowa aksamitna, żakiet przybrany guziczkami.

Serbka, pani Gruic, ogłosiła w angielskim „Standardzie" obszerny artykuł o swych współobywatelkach, który podaje nam dokładne wyobrażenie o tem, jakimi bohaterkami potrafią być serbskie kobiety. Przytaczam kilka wyjątków.

W rzeczywistości, pisze pani G., wszystkie Serbki biorą czynny udział w wojnie. Przejęte są one głęboko potrzebą ofiary dla Ojczyzny, to też serbski Czerwony krzyż ma aż za dość gotowych rąk do pracy. Kobiety serbskie są roztropne, miłe i cierpliwe, o ile rzecz prosta, jakaś niesprawiedliwość doznana nie uczyni ich nieugiętymi. Oook Ameryki Serbia może jest jednym z pierwszych krajów, który pozostawia kobiecie zupełną swobodę, dając jej całkowite równouprawnienie. W domu serbskim zajmuje kobieta stanowisko otoczone czcią i poważaniem, a ustawy dla ochrony dzieci i kobiet są wzorowe. Stosunek wewnętrzny rodziny układa się n. p. w ten sposób, że uważanoby za rzecz wielce zdrożną, gdyby młodszy brat żenił się wcześniej, nim jego starsza siostra wyjdzie za mąż. Wychowanie kobiet jest doskonałe. Szkoły ludowe mają wzorową organizacyę, a na uniwersytecie w Belgradzie kobiety mają dostęp na wszystkie wykłady. Żadna inteligentna Serbka nie ma odwagi wejść w towarzystwo, jeśli nie mówi doskonale przynajmniej czterema obcymi językami. Również prawie wszystkie serbskie kobiety umieją grać na jakimś instrumencie. Ręczne roboty, malowanie, rysunki i modelowanie są otaczane chętną opieką, nie mniej jednak z zapałem studyują Serbki ekonomię polityczną i prawo. Przytem wszystkiem jednak nie zatracają wrodzonej cechy kobiecej, umiejętności stworzenia sobie ciepłego miłego ogniska domowego. Najznamienitsze damy z towarzystwa uważają za swój obowiązek osobiście wnikać w wszelkie szczegóły gospodarstwa domowego i są dumne ze swych wiadomości na polu sztuki kulinarnej. W zakresie prowadzenia gospodarstwa domowego, hygieny i czystości nie wiele już mogą się od Europy nauczyć. Mimo wielkiej swobody, jaką pozostawiono w Serbii kobietom w wyborze zawodu, nie ma między nimi a mężczyznami konkurencyi na tem polu, a w dziedzinie polityki sprawa powszechnego udziału kobiet w głosowaniu do ciał prawodawczych nie stanęła jeszcze na porządku dziennym. *W.*

Paryskie nowości.

Kopalnia wszystkich najciekawszych pomysłów mody, Paryż, rzuca znowu na targ kilka oryginalnych pomysłów z dziedziny mody, które mają imponować męskim krytykom w obecnym sezonie. Nie zmieniają one co prawda zasadniczej idei przewodniej stylów w obecnym sezonie, ale dodają nowe szczegóły i szczególiki, które toaletom nadają odrębny charakter i wygląd.

Przedewszystkiem więc zachowując tuniki zmieniono ich wygląd, robiąc z nich coś w rodzaju krynoliny. Na piękny jedwabny spód, przychodzi narzutka tunikowa lub gazowa, której dół ujęty jest kolistą obręczą tak, iż odstaje dookoła spodnicy jakby krynolina. W lecie już pojawiały się zapowiedzi tej mody, obecnie powraca ona przy sukniach wieczorowych, a nawet balowych.

Tuniki dotychczas robione były stosunkowo wąskie, tak, iż nie wiele pod względem szerokości różniły się od samych sukien. Obecnie rozszerzono je i zaprowadzono modę tunik obszernych, fałdowanych, które otoczę stroją wąskie nadal suknie.

Inną nowość wprowadzono w dziedzinie zarękawków futrzanych. Wielkość ich utrzymała się nadal w przerażających rozmiarach. O ile jednak dotychczas robione były dosyć płaskie, o tyle obecnie robi je się gr be i okrągłe. Przez to jednak stały się zarękawki te bardzo niewygodne.

Bardzo oryginalne są krawatki futrzane dla pań. Jak *rusze* otaczają one szczelnie szyję i zakończone są z boku lub z przodu ozdobnem przepięciem.

Wspomnę jeszcze o jednej nowości, bardzo jednak ekscentrycznej i specyalnej. Znalazły się mianowicie w Paryżu firmy, które na karnawał przygotowały suknie z materyi szklannej. Materya ta robiona jest ze specyalnie preparowanych nici szklannych nie łamiących się i bardzo miękkich, oraz ma kilka odmian barw. Podobno są już panie, które noszą takie suknie. *W.*



Suknia wieczorowa, biała z gufrowaną spódniczką.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

17

— Nadarza się sposobność — rzekł baron Osaka mrużąc jeszcze bardziej swe drwiące oczy — do sprawdzenia pańskich słów...

Wstał ze swego fotela, podszedł do drzwi oszklonych, prowadzących na balkon i otworzył je.

— Oto przechodzi pułk francuski — rzekł — chodźmy popatrzeć na tę zbieraninę, która gotowa jest każdej chwili rzucić broń...

Przez ulicę od strony Gwiazdy maszerował pułk piechoty marynarki. Żołnierze w mundurach polowych, powracali z manewrów. Obuwie i odzież pokryte były kurzem, znać było, iż pułk miał za sobą długą i uciążliwą drogę. Ale żołnierze szli dziarsko, lekkim, elastycznym krokiem, w równych szeregach, weseli, z uśmiechem na ustach patrząc na niesiony przed nimi sztandar.

Baron Osaka podniósł rękę do czoła i salutował, gdy sztandar zrównał się z balkonem.

— Jakto? — zawołał baron Friedenstrass — zdziwiony — pan salutuje tę płachtę?

— Tak — mam po temu powody specyalne!

Na ulicy, którą maszerował pułk, ruch ustał, dorożki, przechodnie, zatrzymywali się, tworząc tłum, którego serce biło w takt marsza. Mężczyźni zdejmowali kapelusze, kobiety pochylały głowy przed sztandarem, jak przed czemś bardzo szanowanem i drogiem. Na tej najpiękniejszej w świecie ulicy, na tej arteryi serca Paryża brzmiał tryumfalnie marsz wojskowy, dominując nad gwarem, i całe życie zdawało się koncentrować koło tego wojska. Widok żołnierzy napawał tłum zebrany otuchą, pewnością siebie, poczuciem siły i nadziei.

— Mimo wszystko, piękny to widok! — rzekł złośliwie Japończyk, patrząc na Niemca... Wcale niezła armia jak na zdegenerowany naród.

— Ba! — odparł baron Friedenstrass — to na pokaz, dla podbicia bulwarów, jak mówią w Paryżu! Ale zobaczyłby pan przy pierwszym wystrzale armatnim...

— Widziałem ich, baronie — rzekł Japończyk swym spokojnym głosem — widziałem ich pod ogniem mitraliez — byli tak samo spokojni, weseli i pewni siebie...

— Ale nie omieszkali zmienić tempa.

— Istotnie, poczęli biedz.

— W tył?

— Nie, do ataku — i to było naprawdę piękne... Widzi pan, ja się na tem trochę znam, jestem generałem. Zresztą zazdrościłem mocno tym dyabłom Francuzom.

— Dlaczego?

— Bo wyjechaliśmy razem, a oni przybyli pierwej. I większa część sławy im przypadła w udziele.

— Ale gdzież to się działo?

— O, dosyć daleko stąd — w Pekinie.

— A! w Chinach! Przeciw Chińczykom! To niema żadnego znaczenia.

— Jednakże wówczas to Francuzi właśnie ocalili ambasadę niemiecką, która była zgubioną.

Baron Friedenstrass podskoczył.

— Przepraszam — krzyknął — to nie byli Francuzi.

— Wojsko kolonialne?

— Nie — legion cudzoziemski, w którym służyli prawie sami Niemcy.

— Pan pozwoli — nie Niemcy, lecz Alzatczycy! I dowodził nimi — wówczas był on kapitanem — ten sam pułkownik, którego pan przed chwilą widział na czele tego pułku. Eh, drogi baronie, widziałem, jak ten kapitan prowadził swoich ludzi pod ogniem mitraliez. Szli tak jak tu przez Pola Elizejskie z uśmiechem na ustach — i tam to poznałem duszę francuską. Wówczas ten sztandar okrył się sławą. Dlatego salutowałem go. I dlatego, że wówczas krew japońska lała się narówni z krwią francuską!

I uśmiechając się dodał chytrze:

— Oto dlaczego umierają ludzie! Zeby okryć chwałą sztandar swego pułku!

Baron Friedenstrass nie odpowiedział. Po chwili milczenia posłał za oddalającym się pułkiem niemieckie przekleństwo.

ROZDZIAŁ XLIX

Wizyta.

W dniu, w którym Simonet został zaproszony przez piękną hrabinę d'Ortega, baron de la Ronconliere otrzymał bilecik tej treści:

„Jestem dziś wieczorem sama. Niech się pan poświęci i przyjdzie zjeść ze mną obiad".

Podpisano: „Pepa".

La Ronconliere, który właśnie siedział przy śniadaniu, o mało z radości nie przewrócił stolika. Odczytał bilecik kilkanaście razy, potem okrył go pocałunkami. Cały niemal dzień zeszedł baronowi na przygotowaniach do tej wizyty. Ufarbował starannie włosy na głowie i wąsy, odwiedził swego dentystę, wreszcie udał się do klubu, gdzie uprzedził swych przyjaciół, by nań nie liczyli tego wieczoru, gdyż jest zajęty. Miał przytem wyraz twarzy tak rozpromieniony i szczęśliwy, że przyjaciele odrazu domyślili się i poczęli mu winszować. Ale Ronconliere był dyskretny:

— Nie, nie, panowie, mylicie się. Mam poprostu zeoranie familijne.

I uroczystym krokiem opuścił klub, udając się na proszony obiad.

Hrabina d'Ortega wyglądała tego wieczoru czarująco i olśniła barona. Przy obiedzie, który jedzono we dwoje, La Ronconliere wytężał cały swój dowcip i galanteryę, by zabawić hrabinę, która była bardzo uprzejmą, miłą, zachęcającą.

To ośmieliło barona. Przy czarnej kawie w małym saloniku, począł jej mówić o swej miłości.

Hrabina wpół leżąc na wschodniej otomance, słuchała gorących wyznań w milczeniu z przymrużonemi oczyma. Baron ośmielił się jeszcze bardziej, ukląkł przy otomance, wziął rękę pięknej Pepy i złożył na niej gorący pocałunek.

Nagle hrabina wyrwała mu rękę.

— Baczność, baronie — rzekła żywo.

Poczem zawołała głośno:

— Prosić!

Jednocześnie powstała z kanapy. La Ronconliere klęczał, nie rozumiejąc o co chodzi.

Ale oto drzwi otworzyły się szeroko i służący zaanonsował:

— Pan Simonet!

Biedny baron miał uczucie, jakgdyby wylano mu na głowę kubeł zimnej wody. Podniósł się z trudnością z klęczek i ujrzał, jak Simonet, w głębokim ukłonie całował piękną rączkę hrabiny. W piersi barona zawrzało. Targając wąsy, mruknął:

— Tego człowieka zabiję. Przeszkadza mi, musi zginąć.

Hrabina tymczasam mówiła z czarującym uśmiechem do Simonet'a:

— Ach! jak to pięknie z pana strony, że pan przyszedł! Taka jestem szczęśliwa i taka wdzięczna!

La Ronconliere, wciąż strosząc wąsy, rzucał zabójcze spojrzenia na szefa gabinetu ministeryum. Ale ten zdawał się nie zauważyć go, wpatrzony w piękną kobietę, Wówczas baron zakaszlał.

Hrabina odwróciła się.

— O, pan musi być zaziębiony — rzekła z okrucieństwem, do jakiego zdolna jest tylko kobieta. — Musi panu być zimno, niech pan podejdzie do kominka.

— Przeciwnie, pani — odparł baron — nie jest mi zimno, płonę cały!

— Ach! to tem lepiej... Pan pozwoli, że zaznajomię panów... Pan Simonet — baron de la Ronconliere.

Simonet ukłonił się.

— Miałem już przyjemność — zaczął.

— Tak jest — podjął pogardliwie baron — pani przedstawiła mi przed paru dniami tego pana, oraz dwu jego przyjaciół, z którymi chętnie spotkałbym się jeszcze raz.

I złożywszy głęboki ukłon hrabinie, baron wyszedł z pokoju z podniesioną wysoko głową.

Hrabina dopędziła go w sąsiednim pokoju.

— Jakto, pan tak odchodzi, prawie trzaskając drzwiami! Co to ma znaczyć?

— Pani — odparł z godnością baron — nikt dotąd jeszcze nie ośmielił się drwić ze mnie!

— Ależ to nie pan Simonet — zaczął...

— O! on skończy!

— Ani ja...

— Pani? Pani jest kobietą i Amerykanką, która może nie rozumieć, co obraża szlachcica francuskiego.

— Ależ ja jestem dla pana z całą sympatyą, z całem uznaniem. I nigdy nie ośmieliłabym się.

— Przed chwilą pozwoliłem sobie wyznać pani swe uczucia. Postąpiłem źle!

— Słuchałam tych wyznań z rozkoszą...

— Nie odpowiadając na nie.

— Pan nie dokończył...

— Proszę, by pani zapomniała o tem, nigdy to się nie powtórzy, ręczę pani.

— Dlaczego? Możemy pomówić o tem jutro...

— Nie, pani, nie byłbym pewnym, czy nam znowu ktoś nie przeszkodzi, ktoś, kto mógłby źle na tem wyjść.

— Pan grozi! Pan chce wyzwać Simonet'a? Ależ on jest niewinny. Prosiłam go, żeby przyszedł, gdyż mam go prosić o pewną przysługę.

— Jest więc szczęśliwy! Niech więc odda pani tę przysługę, ale niech się spieszy! Żegnam panią!

I baron wyszedł dumny i sztywny. Na ulicy, począł wywijać laską, jak szpadą, przypominając sobie nastraszliwsze pchnięcia.

— Hej! tam! ostrożnie! — rozległy się nagle dwa wesołe męskie głosy. Do licha! La Ronconliere, gotów jesteś nas pozabijać!

Byli to przyjaciele klubowi barona wicehrabia de la Domeray i hrabia de Sesbois, którzy przechodzili bulwarem paląc cygara.

— Przeciw komu się przygotowujesz? — zapytali.

La Ronconliere, ochłonąwszy ze zdziwienia — zawołał.

— Ach! moi drodzy, jestem uszczęśliwiony z tego spotkania.

— Tylko co wyszliśmy od markiza don Izigo, u którego byliśmy na obiedzie.

— Ja zaś byłem u jego siostry.

— U pięknej Pepy?

— Moi drodzy, żądam od was słowa honoru... Jeżeli zgodzicie się być moimi sekundantami, wszystko wam opowiem.

Trzej panowie oddalili się, rozmawiając. W chwilę

później z ukrycia za drzewem ukazało się dwu mężczyzn.

— Dobrze — rzekł jeden z nich — jutro cały Paryż będzie wiedział, że Rinconière ma się bić z Simonet'em, gdyż ten ostatni pozyskał miłość hrabiny d'Ortega. O to mi chodziło... Niech mówią, że Simonet jest zakochany! Niech mówią nawet, że jest kochankiem pięknej Pepy...

Dwaj mężczyźni oddalili się nie zwracając uwagi na żebraczkę, która układała się do snu w zagłębieniu muru. Gdy kroki ich umilkły, żebraczka podniosła głowę i mruknęła męskim głosem:

— Oto brat, który mało dba o honor swej siostry. Wolałbym jednak, żeby reputacya pięknej hrabiny była bez skazy... Miejmy nadzieję, że Simonet nie jest jej kochankiem i że opuści wkrótce jej mieszkanie. Nie mam ochoty spędzić tu nocy, a muszę czekać, aż Simonet wyjdzie.

Piękna hrabina, jak tego pragnęła żebraczka, była bardziej cnotliwą, niż przypuszczał jej brat, gdyż wkrótce potem pożegnała Simonet'a.

Szef gabinetu ministra spraw zagranicznych wyszedł od hrabiny oszołomiony, zakochany, olśniony. Szedł szybkim krokiem w stronę swego mieszkania, nic nie widząc, ani słysząc, oddany wspomnieniom czarownych chwil, które przeżył. Żebraczka, która była nie kim innym, jak jednym z ajentów Paulina Brequet'a, szła za nim w pewnem oddaleniu.

Simonet, wróciwszy do domu, rozebrał się i zamierzał położyć się do łóżka, gdy nagle zdawało mu się, że w lustrze dojrzał jakąś twarz. Skoczył do stolika przy łóżku i sięgnął po leżący tam rewolwer. Ale w tej chwili ktoś ujął go silnie za ramię i rzekł szeptem:

— To ja, panie Simonet, niech się pan nie obawia.

— Pan... Paulin Brequet?

— Tak. Cicho! Mówmy szeptem. Niech się pan położy, możemy doskonale rozmawiać, gdy pan będzie w łóżku.

Simonet wśliznął się pod kołdrę.

— Co się stało? — zapytał — i dlaczego pan tu jest o tej porze?

— Nie mogę wybierać odpowiedniej pory, przytem nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział o tej mojej wizycie.

— Rozumiem... Więc o co chodzi?

— Jutro pan wyjeżdża do Londynu?

— Tak... przez Dieppe.

— Wiem, oznajmił to pan hrabinie d'Ortega.

— Skąd pan wie o tem?

— To obojętne... Pozwoli pan powiedzieć sobie, że to był błąd...

— O! hrabina!

— Nie powinno się nikomu mówić, jakim pociągiem się wyjeżdża, skoro się wiezie ważne dokumenty.

— Ręczę za hrabinę.

— Naturalnie — odparł Paulin Brequet — z tej strony można być pewnym. Więc jutro minister wręczy panu papiery, które pan skopiuje.

— Tak jest.

— Dokumenty te są spisane na specyalnym, bardzo cienkim papierze, który zajmuje mało miejsca. Gdzie je pan schowa? Sądzę bowiem, że nie włoży ich pan do swojej walizki?...

— Naturalnie. Schowam je w specyalnym pasie, który kazałem zrobić. Pas ten, zrobiony z miękkiej skóry, posiada dwie kieszenie, w których umieszczę dokumenty. Ten pas będę miał na sobie i w taki sposób papiery będą dobrze chronione.

— Ten pas właśnie najłatwiej będzie odebrać panu. To zły sposób.

— Więc cóż mi pan radzi?

— Oczywiście pas pan włoży, żeby nie wzbudzać podejrzeń, że dokumenty są gdzieindziej schowane. Ale w kieszeniach pasa umieści pan jakiekolwiek papiery, nie mające żadnego znaczenia.

— Doskonale. A prawdziwe gdzie będą?

Paulin Brequet odpowiedział zapytaniem:

— Czy pan cierpi na rozdęcie żył w nogach?

— Rozdęcie żył! — zawołał młody człowiek — ależ nie!

— Byłem tego pewny. Ale od jutra zacznie pan cierpieć na tę chorobę.

— Jutro? — zapytał w zdumieniu Simonet.

— Tak — i właśnie przyniosłem na to lekarstwo, ściśle biorąc, pewien przyrząd, który pana z tej choroby wyleczy.

Paulin Brequet położył na łóżku dwie pończochy gumowe.

— Włoży pan te pończochy zaraz, żeby się do nich przyzwyczaić i żeby nikt nie zauważył, że pan cierpi na rozdęcie żył.

Simonet chciał się bronić.

— Nigdy w życiu nie włożę czegoś podobnego.

— Trzeba to uczynić, drogi panie. Niech pan mi wierzy. Zresztą będzie je pan nosił zaledwie kilka dni. Ten przeciąg czasu zupełnie wystarczy, żeby pana wyleczyć z tej brzydkiej choroby.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.
Ułożył J Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko znakomitego polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2 Zawiadowca. 3 Z w.d to.net 4 I. czej rozmowa. 5. Głownog 6 Pospolity owad 7 Góry w Azy 8 Część świata. 9 Snak morski. 10 Zwierzę domowe. 11. Naczynie. 12. Pierwiastek. 13 Przymiotnik. 14 Samogłoska.

Przysłowiówka.
Ułożył J Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1) Za tanie pieniądze psy mięso jedzą.
2) I od nieprzyjaciół można się czego nauczyć.
3) Każde zło w zawodzie łatwo można stłumić.
4) Szewc zwykle bez butów chodzi.
5) Zjesz beczkę soli, nim poznasz dowoli.
6) Nie odrazu Kraków zbudowano.
7) Prawdy i żartów, jak soli używaj, bo łatwo przesolić.
8) W nocy wszystkie koty czarne.
9) U złego robotnika siła trzasku, roboty mało.

Szarada.
Ułożył Sokrates, Nowy Sącz.

Z drugiego-pierwszego prodn cyą się znamy
Uży jak ... sia ne „nie h z jel" wołamy,
Drugie-trzecie miasta ... ich nie z aj ze ie
W ... ać sie, to jednak *pierwsze wspak i trzecie,*
T m na pewno spotkacie, g ry t ... iem.ie..
Od trafnego zgadnięcia zależą i *całe.*

Przysłowiówka.
Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożć ... ukie przysłowie, przytoczone w „Panu T d-uszu" pr ez A Mickiewicza:

Gdzie był pop Bóg? Do kraju sadzi już kusa. Jęk.

Logogryf.
Ułożyła W Rączówna, Rzeszów.

Litery poprzestawiać w ten sposób, aby rząd środkowy, czytany z g ry na d ł, utworzył sensacyę, która niedawno zajmowała cały Kraków.

			a			
		a	a	a		
		a	a	a	a	
	a	a	a	c	c	ć
		d	e	f	h	h
			h	i	i	
				i		
			j	k	k	
		k	k	l	l	ł
m		n	n	n	o	o
		o	o	o	o	
			p	p	p	
		r	r	r	r	
r		s	s	ś	t	t
		t	t	t	w	w
			w	y	z	
				z		

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska. 2 Kwiat. 3. Szlachetny kamień 4 Miejscowość w Grecyi, pamięć na sławną bitwą. 5 Naczynie 6 Zwierzę 7. Spółgłoska. 8 Część naczynia 9 Nieng da 10 Uczony. 11 Miasto w M ... Azyi 12. Rodzaj broni 13 ... tunek skóry 14 Ptak. 15. Roślina. 16 Wykrzyknik. 17. Spółgłoska.

Szarada.
Ułożył Sokrates, Nowy Sącz.

Pierwsza i druga do określenia służy,
Druga i trzecia ... d ... się ... y,
Pierwszej i trzeciej ... ść jak najdłużej
... ... , dobrodzieczy,
Druga-pierwsza w ... nach w magazynie
Za ... po d ... wini ...
Druga-druga ... ... szczony
W ... ... a cza ... em ... ż ... ny,
Całość ... ... się,
Bo ... się j dynie w sosie.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich po ... ... pr ... zn cza Redakcya do rozlosowania *W. Marrene:* Nowelle i obrazki.

Najelegantsze ubrania

męskie i z najlepszych materyałów angielskich i krajowych, w cenach najprzystępniejszych, można zamawiać tylko u firmy

M. CZAJA i W. RECHOWICZ, Kraków, ul. Mikołajska 24.

Zmiana lokalu!

W. SZNAJDROWICZ

kuśnierz, obecnie **KRAKÓW, RYNEK GŁ. 9.** (vis-a-vis kościoła św. Wojciecha)

MAGAZYN URZĄDZONY Z KOMFORTEM poleca: **futra, serdaki, peleryny i t. p.**

Zamówienia wykonuje z całą starannością, jak również wszelkie przeróbki, oraz pokrycia futer. Magazyn posiada wielki wybór materyałów z fabryk krajowych angielskich.

Zmiana lokalu!

Panie Gospodynie! Baczność!

Nie kupujcie żadnego masła ani nic podobnego dopóki nie skosztujecie sławnej ogólnie wypróbowanej, światowej marki

BLAIMSCHEINA

„UNIKUM“

MARGARYNY

„UNIKUM“ nie jest żadnym tłuszczem roślinnym.

„UNIKUM“ jest z najczystszego i najlepszego tłuszczu zwierzęcego z domieszką śmietany pasteuryzowanej i dlatego posiada **największą wartość pożywną** i jest rzeczywiście zdrowy.

„UNIKUM“ nie jest produktem sztucznym, tylko **czystym naturalnym.**

„UNIKUM“ jest o **50 %** **tańszy** i o wiele wydatniejszy od masła.

TYLKO UNIKUM BLAIMSCHEINA jest tym jedynym i prawdziwym środkiem mogącym służyć zamiast masła, który **wszystkie do tąd** inne zachwalane środki **przewyższa.**

Wyrób

„UNIKUM“ BLAIMSCHEINA jest przez stałą państwową kontrolę chroniony, co na każdym pakiecie jest uwidocznione.

Szanowne Gospodynie!

Nie dajcie się przez inne namowy **w błąd wprowadzić** i używajcie zamiast masła przy

smażeniu
pieczeniu
gotowaniu
jako **dodatek do chleba**

wyłącznie

BLAIMSCHEINA „UNIKUM“ MARGARYNY

Wszędzie do nabycia! Próbki darmo i opłatnie!

VEREINIGTE MARGARINE- UND BUTTERFABRIKEN, WIEN XIV.

Śliczne, modne zabawy towarzyskie. Bardzo zajmujące dla starszych i młodych.



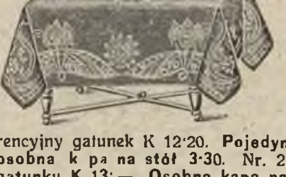
Nr. 1449 „Saneczki“ najmodniejsza i najbardziej zajmująca zabawa towarzyska, składająca się z planu gry z mocnej tektury, 6 saneczkowców i 2 kostek w ślicznym kartonie 30X21 cm. razem z opisem gry (na 2—6 osób) **K 1·45**. Największy wybór najnowszych zabaw towarzyskich w moim katalogu głównym. **Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!** Wysyłka za poprzedniem nadesłaniem należytości lub za zaliczką przez c. k. nadwornego dostawcę

HANNS KONRAD, Brüx Nr 4138 (Czechy). Katalog główny z 4000 rycin na żądanie wysyła każdemu darmo i opłatnie.

Starzy ludzie nazwali wietrznikiem

ten miesiac listopad i wiedzieli też dlaczego. Żaden bowiem miesiąc w roku nie jest tak wietrznym i mglistym — żaden też miesiąc nie jest tak dla ludzi wrażliwych szkodliwym — jak listopad. W tym czasie nie powinny też brakować Faya prawdziwe Sodeńskie mineralne pastylki w żadnem gospodarstwie, aby na wypadek zaziębienia, kataru i t. p. natychmiast były pod ręką i zapobiegły w ten sposób poważnym chorobom. Pudełko kosztuje 1 kor 25 hal. i jest do nabycia w każdej aptece i drogueryi. — Przed naśladownictwami należy się strzedz.

Garnitury na stoły i łóżka



w najmocniejszych i najmodniejszych wykonaniach, Nr. 2081. Garnitur buretowy (2 kapy na łóżka, około 140 cm. szer. 190 cm. długie i kapa na stół około 138 cm. długa i szeroka) z pięknym brzegiem tkanym w kwiaty na tle czerwonem, bordeaux lub oliwkowem, bardzo tani konkurencyjny gatunek K 12·20. **Pojedyncza kapa na łóżko K 4·45, osobna kapa na stół 3·30. Nr. 2165 takie same w lepszym gatunku K 13·—. Osobna kapa na łóżko K 4·75 osobna kapa na stół K 3·50. W 1-a gatunku K 15·20, 16·—, 21·50 i wyż j.** Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy. — Wysyła za zaliczką c. i k. nadworny dostawca

HANNS KONRAD, w Brüx Nr. 4121 (Czechy).

Katalog główny z 4000 rycin wysył. na żądanie darmo i opłatnie.



Każda matka

powinna uznać, że leguminom, jak strudel. knedle, ciasta, torty, puddingi, babki, pączki, łazanki, buchty, obwarzanki, makaron, omlet, naleśniki, rożki, dołki czeskie, ciasteczka, kluski etc. w wielu wypadkach, szczególnie dla dzieci należy dać pierwszeństwo przed potrawami mięsnemi i złożonemi, jeżeli zawierają domieszkę

Dra OETKER'A

proszku do pieczenia po 12 h.,

gdyż tylko wtedy są nie tylko pożywne, ale także lekko strawne, co znowu szczególnie dla dzieci nie może być nigdy zbyt wysoko cenionem. Należy przeto przyrządzać dla swych dzieci wiele takich legumin z proszkiem do pieczenia dr. Oetkera, który wszędzie wraz z receptami, niezliczone razy wypróbowanemi, jest do nabycia.

Zdrowy, pożywny, tani.

Należy uważać, by tylko prawdziwe fabrykaty dra Oetkera otrzymywać.

6

Rewolwer dla kolarzy!



Nr. 112.

Z panewkowym zapalaczem, bardzo ulubiony model, 6 strzałowy gładko poler., rączka z drzewa orzechow., cyngiel do rozkładania K 8·50. **Naboje do rewolweru** systemu panewkowego Nr. 500 za 100 sztuk K 3·40.

Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy. Bardzo wielki wybór broni wszystkich rodzaji, znajduje się w moim głównym katalogu z 4000 rycin, który wysyła się każdemu na żądanie za darmo i opłacony. Wysyłka za zaliczką przez c. i k. nadw. dostawcę

Hanns Konrad, dom wysyłk. **w Brüx Nr. 4141 (Czechy).**

Zawiadamiam

P. T. Publiczność, że dnia 20 stycznia 1912 **otwarty został**

HOTEL MONOPOL

wraz

z Kawiarnią i Restauracyą

w Krakowie, przy ul. św. Gertrudy 6, tel. 405 dawniej **(Hotel Kleina).**

Hotel położony jest tuż naprzeciw plant obok głównej poczty, niedaleko przystanku kolei elektr. Pokoje świeżo odrestaurowane i na nowo z najwyższym komfortem urządzone. **Światło elektryczne. Ceny przystępne.**

Z wysokiem poważaniem

Zygmunt Billet.

Zygmunt Ślimakowski

Kraków, Rynek Linia A-B róg ul. św. Jana

Przybrania do sukien, **bluzy, halki, pończochy,** żaboty, kołnierze, pióra, i boa strusie, koronki, wstążki, rękawiczki i t. p.

Magazyn Nowości dla Pań!

Rocznie przeszło 10 milionów Koron wydajemy na świece stearynowe wyrobu ZAGRANICZNEGO.

PALĄ SIĘ RÓWNO OSZCZĘDNIE nie kopcą.

KRAKOWSKA FABRYKA MYDŁA

C. ŚMIECHOWSKI

Spółka z ogran. odpow. w Krakowie.

NAJZNAKOMITSZY WYRÓB KRAJOWY.

ŚMIECHOWSKI

MARKA OCHRONNA.

Należy żądać we wszystkich sklepach i c. k. trafikach

papieru listowego, tu'ek i bibułek cygaretowych

wyrobu jedynej w kraju fabryki: **S. W. Niemojowskiego i Ski we Lwowie**

pod nazwą:

„1863“

Główny skład we Lwowie w Pasażu Mikolascha.

Do nabycia wszędzie.

Na żądanie cenniki franko.

5% od sprzedaży brutto przeznaczone na **przytułek dla Weteranów z r. 1863** do dyspozycyi i pod kontrolą Komitetu Jubileuszowego 1863—1913.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.